

odątkosy



Nr 7 (363)
21. II. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



ANDRZEJ BAJKOWSKI

Agnieszka — imię pokolenia. Od czasu, gdy Wilhelm Mach wydał swą książkę, gdy wysłuchaliśmy jej przeróbki radiowej i obejrzelśmy adaptację filmową, imię Agnieszki stało się symbolem. Rozumiemy przezeń: twarz współczesnej dziewczyny.

W Polsce anno 1965 ile mamy tych twarzy? Rocznik statystyczny powiada — kilka milionów. Reporter, któremu dane jest oglądać tylko wycinek rzeczywistości precyzuje: 641.

Tyle dziewcząt mieszka w reporterskim, symbolicznym „Kolumbie”. Adres: ul. Lumumby, niegdyś Bystrzycka. Nazwa: II Dom Studentki Akademii Medycznej w Łodzi.

Wczesnym popołudniem możemy wejść tutaj nierozpoznani, zając miejsce na jednym z krzesełek w hallu. Przez oszklone drzwi widać lustro. Kierowniczką DS-u, kobieta, a więc kobiecej psychiki znawcą, kazała umieścić je tuż przy wyjściu. Dziewczeta zatrzymują się przed nim: rzut oka na całość sylwetki, krótki, charakterystyczny gest w kierunku szalika i włosów; już im Honoriusz Balzak powiadał, że służy on mniej poprawieniu fryzury, bardziej stanowi akt kokieterii...

Z naszego punktu obserwacyjnego widzimy zatrzymane na moment odbicia dziewczęcych twarzy: przylądną się im, a ołówki notuje wrażenia. Będzie to więc reportaż o twarzach w lustrze.

W nagłówku brulionu napisałem: ZADANIE — ODNALEŹĆ AGNIESZKĘ. Czytałem przedtem listę mieszkanki: Agnieszki są tam cztery — dwie z pierwszego roku, jedna z czwartego i jedna po piątym. Ale przecież nie o nie mi chodzi.

Szukam Agnieszki — symbolu, Agnieszki, której twarz będzie twarzą studentki medycyny, mieszkanki DS-u Nr II.

Jeśli lustrzana parada potrwa dłużej, jeśli migotliwa powierzchnia przyjaźnej mi płaszczyzny uczyni cud i zatrzymam rysy najbardziej charakterystyczne, jeśli nałożą się one na siebie, wówczas kto wie, może potrafię odtworzyć ten rysunek, zapisać go, utrwalić...

Jaka jesteś, Agnieszko? Nie myśl, że zamierzam kreować cię na bohaterkę pozytywną; współczesność potrzebuje wprawdzie bohaterów, lecz zarazem nie sprzyja im, jest wroga wobec charakterystyk zbyt monumentalnych,

Agnieszka z KOLUMBA

częściej zrzuca z piedestału niż wznosi nań.

Nie chcę wiedzieć, jaką chciałabyś być, Agnieszko, szukam tylko prawdy o Tobie...

* * *

Poniedziałek, godzina 10 wieczorem. Zebranie Areopagu „Kolumba”, w malutkiej kawiarence tlo: Areopag zwany tu Padą Mieszkanki liczy sobie członków ponad 20.

Pytam: Jeśli Agnieszka nazwiemy kogoś, kto stanowi waszą przeciętną, kto zawiera cząstkę każdej z was powiedzie, co uznacie za wartość najwyższą, najcenniejszą takiej Agnieszki?

Mówią (kolejno, bo jest to coś w rodzaju ankiety): wrażliwość, inteligencja, zaangażowanie, pasja życiowa, umiejętność współżycia w środowisku, umiejętność znalezienia czasu na wszystko, wyzbycie się egoizmu, umiejętność mimikry, romantyzm.

Pytam: — Czy wszystkie wymienione tu cechy to tylko wasze pobożne życzenia, czy też wydaje wam się, że ten ideał bliski jest rzeczywistej postaci Agnieszki?

Odpowiadają: — Jeśli dobrze przyjrzeć się Agnieszce, ona taka właśnie jest. — Zaangażowana? Ogarnięta życiową pasją? Romantyczna? Umiejąca organizować sobie czas? Nieegoistyczna? Wrażliwa? — Tak — kiwają głowami — I jeszcze na dodatek potrafi się uśmiechać...

* * *

O mieszkających w DS studentkach medycyny w wielu środowiskach utarło się mówić źle. „Żle” w tradycji polskiej, kulturowym znaczeniu tego słowa.

Niebadane, zaiste, są drogi ludzkiej głupoty.

Ze nie mówię na wiatr postuchajcie, jakim uczynił eksperyment.

Oto przed cytowanym powyżej zebraniem Areopagu naszkicowałem na kartkach pięć dziewczęcych sylwetek. Imiona miały: Monika, Lucyna, Renata, Wiesia, Wanda. Ich sposób bycia, ich życiorysy i sylwetki nie zostały wymyślone przeze mnie: pochodziły ze źródeł żda się wiarygodnych: od ludzi, którzy stoją na zewnątrz środowiska z „Kolumba” opowiadali mi zasłyszane (ale klnąc się, że autentyczne!) historie jego mieszkanki. Podobno — twierdzili tak — bardzo typowe.

A więc Monika: dziewczyna, która na medycynie znalazła się przez przypadek. Najważniejszym co przeżyła był zawód miłosny. Teraz egzystuje z dnia na dzień, zainteresowania ograniczając do przelotnych, nieobowiązkowych flirtów, rzadziej kina, częściej potańcówek, zrezygnowana, bez ambicji intelektualnych i wiary w cokolwiek.

Dalszy ciąg na str. 4

JULIAN BRYSZ

WIZJA ŚRÓDMIE SCIA

Każdy mieszkaniec Łodzi potrafiłby godzinami cytować przykłady, świadczące o radykalnych zmianach wyglądu miasta, jakie zaszły w minionym dwudziestolecu. Zmian tych jednak stosunkowo niewiele dostrzega się w samym śródmieściu. Istnieją co najmniej dwa zasadnicze powody, dla których budowniczowie dotychczas tak nieśmiało ingerują w centrum. Po pierwsze — stara zabudowa jest tu najbardziej zwarta i znajduje się w stosunkowo dobrym stanie; po drugie — nie mieliśmy dotąd w pełni skonkretyzowanego programu rozwoju dzielnicy centralnej, który to program odpowiadałby wymaganiom współczesnej urbanistyki, a równocześnie czynił zadość możliwym już dzisiaj do przewidzenia, potrzebom przyszłych pokoleń.

Ostatnio prasa codzienna przyniosła komunikaty o rozstrzygnięciu konkursu urbanistycznego na centrum Łodzi. By zrozumieć wartość i wagę tego przedsięwzięcia, musimy poszukać jego genozy w przeszłości.

RÓŻNA OD WSZYSTKICH

Poczynając od wczesnego średniowiecza, każde miasto spełniało poza najważniejszą — mieszkaniową, zwykle jeszcze dwie istotne funkcje: dyspozycyjną i usługową. Tu była siedziba władzy, tu odbywała się wymiana handlowa. Zewnętrznym wyrazem tych funkcji był rynek z ratuszem, kościołem, kramami. W większości miast tak uformowane centrum pozostawało do dziś, a przykładem typowym jest choćby Kraków.

Łódź u progu swego rozwoju posiadała również taki załazek centrum — dzisiejszy Stary Rynek. W pierwszym okresie ery przemysłowej, kiedy władze postanowiły rozbudowywać Łódź według z góry określonego planu, wyznaczono nowe centrum — dzisiejszy Plac Wolności. Niestety, nikt nie umiał wyobrazić sobie tempa rozwoju miasta i przewidzieć w związku z tym, że centrum okaże się zdecydowanie za małe w stosunku do wielkości i funkcji Łodzi. Toteż dalszy rozwój „pojechał” już spontanicznie wzdłuż głównego traktu — ulicy Piotrkowskiej. Tu lokowały się sklepy, biura i banki. Zamiast obszaru centralnego o kształcie zbliżonym do koła czy kwadratu, jakby się to działo w średniowieczu, otrzymaliśmy śródmiejską... ulicę. Miasto wyciągnęło się po obu jej stronach, zamiast stworzyć układ koncentryczny, najkorzystniejszy z wielu względów.

Dzisiaj, prowadząc generalną przebudowę miasta, nie możemy zmarnować szansy stworzenia prawdziwego centrum, musimy przekształcić tę gigantyczną „ulicówkę” w rozsądny twór urbanistyczny.

Jeszcze parę lat wstecz, problem kreowania wielkomiejskiego centrum Łodzi, był sprawa na skalę lokalną. Inne miasta — ukształtowane w procesie historycznym bardziej prawidłowo — nie musiały się nim kłopotać. Obecnie jednak sytuacja ulega zmianie: Wrocław czy Kraków, uzyskując szanse stania się wkrótce miastami rzędu

Dalszy ciąg na str. 3



Tak, jak przypuszczaliśmy, wcześniej jednak niż można było oczekiwać, problem wietnamski znalazł się na porządku dnia jako czołowy problem międzynarodowy. Wizyta premiera Kosygina w Hanoi, prowokacyjne naloty bombowców amerykańskich i południowowietnamskich na terytorium Północnego Wietnamu, wcześniej – kolejne zwycięstwa partyzantów (udany atak na instalacje amerykańskie w Pleiku) – oto w największym skrócie przypomnienie wydarzeń ostatnich dni.

Prowokacje Stanów Zjednoczonych wobec Demokratycznej Republiki Wietnamu z całą brutalnością odsłoniły dramat podzielonego kraju i zakłóciły stosunki między Wschodem i Zachodem, powodując określony wzrost napięcia. W chwili, gdy piszę te słowa, odczuwa się już uprzedzone pewne odprężenie, nie oznacza to jednak, że usunięta została przyczyna.

Spróbujmy więc odtworzyć w pamięci fakty z niedawnej przeszłości, by odsłonić źródła konfliktu.

Kiedy w 1954 r. w Genewie podpisane zostały układy w sprawie Indochin – wydawać się mogło, że po 8 latach „brudnej wojny” Francji, w tym rejonie świata „wreszcie zapanuje spokój”. Niestety, wtedy właśnie na widownię wkraczały Stany Zjednoczone.

Jednym z zasadniczych postanowień układu genewskiego było przeprowadzenie w połowie 1955 roku, pod nadzorem komisji międzynarodowej, wyborów w obu częściach chwilowo podzielonego kraju. Tymczasem co dziś jest już publiczną tajemnicą, w październiku 1955 roku sześć amerykańskich misji wojskowej w Południowym Wietnamie – gen. S. T. Williams otrzymał jednoznaczne polecenie współdziałania z Diemem w stłuszczeniu tych postanowień. Obawa, że wynik wyborów może być niekorzystny dla interesów świata kapitalistycznego pchnęła Stany Zjednoczone do akcji na froncie wietnamskim. I tak się zaczęło...

Ostre represje wobec byłych uczestników ruchu oporu i wszystkich elementów demokratycznych spowodowały natychmiastowy ruch partyzancki, który dosłownie z każdym dniem przybierał na sile. Rozbudowa machiny wojennej, na którą Stany Zjednoczone nie żałowały teraz dolarów (dzienny koszt wojny ok. 2 miliony dolarów), okazała się mało skuteczną, wobec woli mieszkańców Południowego Wietnamu przeciwstawienia się amerykańskiemu planom, realizowanym przez sajgoński reżim. W listopadzie 1963 roku, uwikłany w walkę na kilku wewnętrznych frontach, reżim Diema padł. Nie odstąpił jednak od swych zamiarów Waszyngton. Jak w kalejdoskopie zmieniają się odłg

rzady – raz generalskie, raz cywilne – ale koncepcja podporządkowania i wojny pozostaje. Wbrew rozsądkowi, wbrew ostrzeżeniom niektórych wojsowników Stanów Zjednoczonych (np. de Gaulle'a), wbrew amerykańskiej opinii publicznej, która, jak wykazała ostatnio jedna z ankiet, przeprowadzona przez instytut Gallupa, 81 procentami głosów opowiada się za rokowaniami...

„Ameryka – stwierdził przed kilku dniami przewodniczący organizacji „Amerykanie na rzecz Akcji Demokratycznej”, J. Roche – ma przed sobą tylko jedną rozsądną drogę: niezwłoczne zaprzestanie bombardowania Wietnamu Północnego i wyrażenie gotowości szukania pokojowego porozumienia, które zapewni neutralność Wietnamu, zagwarantowaną przez wielkie mocarstwa i przez ONZ...”

Czas upływa, wzywamy Amerykę, by działała szybko w naszym najpilniejszym interesie, zanim nie będzie za późno!

Także senator Gruening uważa, że „im szybciej to nastąpi – tym lepiej będzie dla prestiżu USA nie tylko w Wietnamie, lecz również na całym świecie”.

Próby demonstrowania siły (w istocie świadczące o czymś odwrotnym – bezsilności i będące właściwie aktami rozpaczliwej desperacji) w postaci incydentu tonińskiego z sierpnia ub. roku czy też ostatnich nalotów na ośrodki północnowietnamskie, niczego tu nie zmienia. Czas i w tym wypadku działa na niekorzyść Stanów Zjednoczonych. Pozostaje więc jedyną drogą negocjacji i powrotu do genewskich postanowień z 1954 r. Drzwi do tego – mimo wszystko – są otwarte.

Podczas, gdy świat patrzył na Wietnam, NRF – by użyć słów zachodniemiejskiego „Handelsblatts” – „ka pitulowała nad Nilem”.

W poprzednim komentarzu mówiłem o kłopotach Bonn w związku z za powiedzianą wizytą Waltera Ulbrichta w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Dyplomacja bońska, usiłująca szantażować i grozić Nasserowi, w gruncie rzeczy pociąga poważną porażkę. – Kair – pisze wspomniany dziennik – jest już w stanie dokonać bilansu, z którego może być dumny. Pozytywny tego bilansu są następujące: Ulbricht przyjeżdża do Kairu, co de facto oznacza uznanie NRD. Niemcy zachodnie zaś wstrzymują pomoc wojskową dla Izraela (co co zabiegał Nasser) i utrzymują pomoc gospodarczą, kredytową i naukową dla ZRA.

„Tak to – pisze ironicznie „Telegraf” – wygląda cudowny kompromis... Niechaj mówią, co chcą na temat rzekomego sukcesu dyplomacji niemieckiej (zachodniej) – przyjrzyjcie się, jak wygląda rzeczywistość”.

Nie trzeba było mieć dużej politycznej wyobraźni, by przewidzieć, że tak właśnie zakończy się cała sprawa. Czy jednak z sytuacji, w jaką wmaneurowali się politycy bonscy, wyciągną oni wnioski co do dalszej przydatności osławionej „doktryny Hallsteina”, będącej jednym z kamieni węgielnych polityki zagranicznej NRF? Pora chyba najwyższa odłożyć do lamusa tę zasadę, opartą na mistyfikacji i urojonych roszczeniach...

V. SŁAWSKI

TYGODNIA

NIEDZIELA,
7 lutego

● Agresywne naloty lotnictwa amerykańskiego na Demokratyczną Republikę Wietnamu wywołały falę oburzenia i protestów na całym świecie. Światowa opinia publiczna domaga się od Stanów Zjednoczonych położenia kresu ingerencji w Indochinach.

● W związku z piracką akcją lotnictwa amerykańskiego nad terytorium DRW, rząd ChRL opublikował oświadczenie, w którym czytamy: „Chiny i Wietnam są sąsiadami połączonymi tak blisko jak wargi i zęby. Agresja Stanów Zjednoczonych przeciwko DRW oznacza agresję przeciwko Chinom”.

● W kilku republikach jugosłowiańskich przystąpiono do pracy nad reorganizacją administracji mającą na celu zmniejszenie liczby organów administracyjnych.

PONIEDZIAŁEK,
8 lutego

● Radziecki tygodnik „Nie diela” opublikował artykuł generała Sztemenko, poświęcony radzieckiej doktrynie wojennej. „Zgodnie z naszą doktryną wojna jest do uniknięcia – pisze generał Sztemenko. Jednakże jeśli imperialiści ją rozpętają, będzie to ostatnia wojna i imperializm w niej zginie”. Autor omawia następnie problem niezbędnych środków obrony, przewidywanych przez radziecką doktrynę wojenną, po czym stwierdza: „Nasza armia nie może liczyć na łatwe i szybkie zwycięstwo, chociaż posiada ona ogólnie uznaną przewagę techniczną i wojskową. W określonych warunkach wojna może mieć charakter długotrwały”.

● Norwegia zabiega o rozszerzenie wymiany handlowej z ChRL. W tym celu do Pekinu uda się delegacja handlowa, która pragnie między innymi poruszyć problemy żeglugi i budowy statków.

● Nakładem Słowackiego Wydawnictwa Literatury Pieknej w Bratysławie ukazały się wspomnienia Vladimira Clementisa pt. „Niedokończona kronika”. Książka w blaskawym tempie zniknęła z półek księgarskich. V. Clementis był pisarzem i działaczem Komunistycznej Partii Słowacji. Nielusznie oskarżony w okresie kultu jednostki został aresztowany i stracony w 1952 roku.

WTOREK,
9 lutego

● Delegacja radziecka z premierem A. Kosyginem na czele zakończyła wizytę w Demokratycznej Republice Wietnamu. Przed odjazdem z Hanoi premier ZSRR złożył oświadczenie, w którym stwierdził, iż strony osiągnęły porozumienie co do kroków, które zostaną podjęte dla wzmocnienia potencjału obronnego DRW.

● Zdaniem kanclerza NRF Erharda wypowiedzi prezydenta de Gaulle'a złożone w czasie konferencji prasowej w sprawie niemieckiej, dowodzą, iż „prezydent de Gaulle ma pełne zrozumienie dla Republiki Federalnej. Odmienne poglądy reprezentuje większość prasy zachodniemieckiej. Według opinii „Neue Rheinische Zeitung” generał de Gaulle wyrzucił jak zużyty świstek papieru do kosza całą oficjalną politykę niemiecką rządu federalnego, zaś boński pokłask dla de Gaulle'a „stał się coraz głośniejszy tylko po to, aby zasłonić własną przegraną – prowadzi się odradzają-

CZWARTEK,
11 lutego

● Premier Francji Pompidou oświadczył, iż neutralizacja Półwyspu Indochińskiego jest ostatnią nadzieją rozwiązania kryzysu w tym rejonie. Pompidou wezwał wszystkie państwa do uznania ChRL, ponieważ „stworzy to możliwość uregulowania sytuacji w Azji”. Polityka Francji – powiedział premier – jest jasna. ChRL to fakt istniejący. Pragniemy, aby wszyscy poszli w nasze ślady”.

● Na łamach prasy radzieckiej trwa dyskusja nad kandydaturami zgłoszonymi do „Nagrody Leninowskiej”. Zwraca się uwagę, iż cechą charakterystyczną wypowiedzi jest ich obiektywizm i rzeczowość, wysokie kryteria oceny, a w wypadku sądów krytycznych, spokojny, nie nastawiony ton i rzeczowa motywacja.

PIĄTEK,
12 lutego

● Porażka wyborcza Goldwatera w wyborach listopadowych nie położyła kresu działalności skrajnej prawicy w USA. Przeciwnie, ostatnie doniesienia wskazują,



– Heil! Tyle się ostatnio pisze o przedawnieniach, czy macie więc jeszcze coś przeciwko mnie? (Der Spiegel)

całą grę przeznaczoną na użytek wyborców”.

● 90 proc. pierwszych sekretarzy wiejskich komitetów rejonowych i miejskich komitetów partii na Ukrainie zajmujących się zagadnieniami rolnictwa posiada wyższe wykształcenie. 57 proc. sekretarzy komitetów rejonowych nie przekroczyło czterdziestego roku życia.

iz faszystowska Birch Society wzmożła swą kampanię rekrutacyjną, a przywódcy innej prawicowej organizacji Minutemen tworzą podziemną armię, jako „ostatnia linia obrony Ameryki przed komunizmem”. 10 organizacji skrajnej prawicy kotyżysta z usług blisko 2 tysięcy rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych, nadając audycje przez 5-7 dni w tygodniu odbierane we wszystkich niemal Stanach Ameryki.

● Dziennik moskiewski „Trud” donosi o przebiegu przez kontrolę graniczną znacznej ilości egzemplarzy pisma gloryfikującego „amerykański styl życia” – „wwożonego do ZSRR przez grupę turystów amerykańskich. „Trud” pletnając powyższą próbę dwusjeli ideologicznej przytacza wypowiedzi gazety amerykańskiej „Wall Street Journal” – „Stany Zjednoczone odkryły nową – nie jadrową, nie balistyczną – broń międzykontynentalną, a mianowicie – amerykańskiego turystę”.

SOBOTA,
13 lutego

● Przewodniczący Rady Państwa Rumuńskiej Republiki Ludowej Gheorghiu-Dej udzielił wywiadu amerykańskiej stacji telewizyjnej CBS. Na jedno z pytań Gheorghiu-Dej oświadczył, że chętnie przyjąłby wizytę w USA i jest przekonany, że można znaleźć odpowiednie warunki ku temu.

● Na mocy porozumienia zawartego między Rumunią a Francją średnioroczna wartość wymiany handlowej między tymi krajami wzrośnie z 240 milionów franków do 560 milionów.

POLONICA

WIERZSZE ŁOBODY
W „KULTURNI
TVORBI”

HUSZCZA
W „LITERATURNY
GAZIECIE”

O KONWICKIM
I RUDNICKIM

KRZYSZTOF CHOIŃSKI
W NRF

Na łamach ukazującego się w Bratysławie tygodnika „Kulturni tvorba” z dnia 7 stycznia br. ukazały się wiersze Romana Łobody w tłumaczeniu małżeństwa Adolfa i Heleny Kroupy. Wśród wierszy, pochodzących z tomu „Szósty smak”, znajduje-

Na łamach „Literaturnej gazety” z 29 grudnia ub. roku ukazał się felieton Jana Huszczy pt. „Dwie noce noworoczne”. Jest w tym pogodnym felietonie mowa o nocy sylwestrowej z 1944 na 1945

W dziesięciu wierszach „Die Volksstimme” (z 30 stycznia br.) ukazała się recenzja o „Senniku współczesnym” Tadeusza Konwickiego z okazji opublikowania niemieckiego przekładu tej powieści. Recenzent kończy swoje wywody następująco: „Tak więc sądzimy, że ten „Sennik” pomimo pięknej szaty i pomimo dużego zainteresowania współ-

Teatr w Słeszku wystawił sztukę Krzysztofa Choińskiego pt. „Gericht bei Nacht”. Peter Dannenberg na łamach „Die Welt” (27 stycznia br.) o-mawia twórczość polskiego autora i charakteryzu-

my „Geometrie”, „Mecha-nikę tworzenia świata”, „Ogrodniczkę” i „Deklinację”. Wiersze poprzedza notka o autorze, podająca szczegóły biograficzne.

Dodajmy, że wiersze Romana Łobody przetłumaczone zostały bardzo wier-

rok oraz o zbliżającym się ostatnim dniu roku 1964. Pierwszą część felietonu dotyczy pobytu autora w wyzwolonym Lublinie, drugą – jak nie trudno się domyślić – mówi o pobycie w Łodzi. W na-

czesną literaturę polską, nie zadowolił ani jej wrogów, ani jej przyjaciół”. W następnym numerze tegoż dziesięciu znajduje się obszerna omówienie zbioru opowiadań Adolfa Rudnickiego „Die Unge-liebte” (Niekochana). Autor recenzji wystawia wy-soką notę zebranym w tomie opowiadaniom i da-je wyraz zadowoleniu, że ukazały się one w prze-

je wystawiony w Słeszku ku utworu, zarzucając mu także wady jak brak dy-namiki i nudę. Jednakże przyznaje, że przedstawie-nie jest interesujące i mo-żna go słuchać, co w du-żej mierze stanowi zasłu-

POLONICA

nie i pięknie. Nie dzi-wnego, Helena Kroupy to znana tłumaczka z języka polskiego a jej mąż, Adolf, także z języka francuskiego. Współpraca obojga dała tu dobre re-zultaty.

stępnym numerze „Literaturnej gazety” z 1 stycznia 1965 r. znajdujemy artykuł Wojciecha Zukrowskiego pt. „Pamiętam i wierzę”, w którym autor wspomina minione lata,

kładzie dostępnym dla czytelników niemieckiego obszaru językowego. W „Die Volksstimme” znajdujemy również recenzję z wyświetlanego w Wiedniu filmu „Matka Joanna od Aniołów”. Gerd Rothmayer wysuwa różne zastrzeżenia pod adresem reżysera, co nie przeszkadza jej stwierdzić, że film jest wybitnym zjawiskiem artystycznym.

ge reżysera i grających aktorów. Ale przecież mu-siały zaważyć także i za-warte w sztuce treści, gdyż inaczej wysiłek re-żysera i aktorów nie dał-by takich rezultatów.

WIZJA ŚRÓDMIEŚCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

miliona mieszkańców, muszą również zająć się przebudową centrum, by nie powtórzyło się łódzkie niedopatrzenie sprzed wieku. Z tych względów w pracowniach urbanistycznych różnych miast i w niektórych wyższych uczelniach powstają obecnie zespoły specjalistów, zajmujące się li tylko wyodrębnioną tematyką planowania wielkomiejskich centrów.

Z tej racji również konkurs łódzki nabral znaczenia szerszego, niż lokalne.

BEZ PRECEDENSU

Zwykle w konkursach architektonicznych i urbanistycznych zgodnie ze sporządzonymi wcześniej założeniami programowymi, uczestnicy rozwiązują wskazany problem. Nowum konkursu łódzkiego polega m. in. na tym, że został pomysłany zupełnie inaczej, niż dotychczasowe.

Był to mianowicie konkurs na założenia programowe rejonu centrum miasta, a także na organizację przestrzenną śródmieścia i układ komunikacyjny w tym rejonie. Punktem wyjścia była przewidywana na przyszłość liczba mieszkańców Łodzi. Wskazano również pewien obszar centralny, który uczestnicy konkursu mogli przyjąć w całości lub też wziąć pod uwagę tylko jego fragment. Jak wykazały wyniki konkursu, teren ten, ograniczony ulicami Kościuszki, Narutowicza, Targową i Główną, został „trafiony” właściwie, większość projektantów uznała go za odpowiedni, wielkością i usytuowaniem, na przyszłe centrum Łodzi.

Do zadań uczestników należało udzielić odpowiedzi na pytanie: co powinno się znaleźć w śródmieściu, jakiego to powinno być rzędu wielkości, w jaki sposób powiązać ze sobą poszczególne rodzaje urządzeń i obiektów, jak wreszcie rozwiązać komunikację.

TRZY SYSTEMY

Rozpatrzmy efekty na przykładzie trzech nagrodzonych prac, które mają pewne cechy zbiorcze, ale z których każda prezentuje rozwiązanie odrębne.

Do elementów wspólnych zaliczyć można przede wszystkim postulat wprowadzenia tunelu pod śródmieście kolejowej linii średnicowej, łączącej dworce — Fabryczny i Kaliski. Kolej ta biegłaby pod ulicą Tuwima bądź Narutowicza, a częste przystanki umożliwiłyby dostęp do śródmieścia ołbrzymiej rzeszy mieszkańców Łodzi i okolic.

We wszystkich trzech pracach postuluje się skierowanie zasadniczego strumienia ruchu kołowego na wspomniane wyżej ulice, otaczające centrum. Ulice wewnętrzne miałyby dla samochodów znaczenie tylko o tyle, o ile prowadziłyby do poszczególnych obiektów, bogato zaopatrzonych w parkingi. Pozbawione byłyby natomiast roli tras przełowych. W śródmieściu ewentualnie pozostałyby tramwaje, wybiegające poza ten obszar poprzez skrzyżowania dwupoziomowe z obrotowymi arteriami.

Ulica Piotrkowska w obrębie centrum, niezależnie od intencji poszczególnych autorów, miałaby stać się główną promenadą lub pozostać skupiskiem handlowym, w każdym razie — nie jak dotychczas, główną arterią komunikacyjną. Zamiast tylko w soboty, można by po tym odcinku Piotrkowskiej swobodnie spacerować co dzień, bez obawy dostania się pod rozpędzony pojazd. Ta idea stworzenia bulwaru w mieście pozbawionym rzeki i związanych z nią „dekoracyjnych” tras spacerowych, widać kusi twórców przyszłej wizji Łodzi, a jest chyba zarazem bardzo humanistyczna.

Podobieństwa znikają, gdy porzucamy sprawy komunikacji. Wszyscy autorzy stwierdzają, że w śródmieściu powinny się znaleźć: dyspozycyjne ośrodki władzy, administracja gospodarcza, handel wraz z usługami oraz obiekty kulturalne, ale wzajemnie ich usytuowanie każda z prac rozwiązuje inaczej.

Łódzianie — autorzy pracy nr 6 — proponują przy poszerzonej ul. Tuwima, na odcinku od Kilińskiego do Piotrkowskiej, umieścić siedziby władz terenowych i central gospodarczych wraz z ich reprezentacyjnymi salami wystawowymi. Byłaby to godna wizytówka Łodzi — miasta przemysłowego. Obiekty kulturalne odsuwają oni na tereny otaczające ten „punkt ciężkości”, np. do powiększonego parku im. Sienkiewicza, handel zaś pozostawiają na zewnętrznym pierścieniu, m. in. np. na ul. Piotrkowskiej, licząc się z jej dotychczasowym charakterem. Zastosowano tu więc układ koncentryczny.

Nagrodzona praca warszawska (nr 8) zakłada podział śródmieścia na 4 pasy, biegnące z południa na północ. Pierwszy pas — od Al. Kościuszki do Piotrkowskiej, pomieszczyłby biura i obiekty kulturalne. Punktem wyjścia dla takiego „mariażu” jest pomysł ekonomicznego wykorzystania perkingów o każdej porze dnia. Pas od Piotrkowskiej do Sienkiewicza zajęłyby hotele, biura, wielkie domy towarowe i pawilony wystawowe. Od ul. Sienkiewicza do Kilińskiego, w pasie zieleni, miałyby znaleźć się tzw. obiekty unikalne, tzn. jedynie w mieście (cyrk, pałac sportu, pałac młodzieży, itp.). Wresz-



cie czwarty pas, do ul. Targowej, pozostałby — jak obecnie — zapleczem komunikacyjnym, przemysłowym i magazynowym.

Autorzy nagrodzonej pracy krakowskiej (nr 5) zrezygnowali z operowania układami całościowymi. Za punkt wyjścia wzięli oni najłatwiej obecnie dostępne dla zabudowy tereny śródmieścia i zaczęli się zastanawiać, czym te puste polacie zacząć wypełniać, już teraz, bądź wkrótce, ku pożytkowi przyszłych pokoleń. Puste lub prawie puste place pod ich uważnym spojrzeniem ułożyły się w zwarty ciąg, wiodący od Teatru Narodowego, poprzez okolice Dworca Fabrycznego i LDK, park im. Sienkiewicza, aż do Główniej. Proponują oni skoncentrowanie najważniejszych instytucji dyspozycyjnych, handlowych i komunalnych (hotele) właśnie wokół dworca w spójnej zabudowie wysokościowej. Takie „szkielet” centrum — dowodzą — objawiające się z dala jako jedna, potężna bryła architektoniczna, podkreślałoby wielkość i napięty rytm życia nowoczesnego miasta. Stworzywszy je, można by stonować, w miarę upływu czasu, przeobrażać dalsze rejon śródmieścia. Trzeba przyznać, że na makiecie projekt ten przedstawia się jako najciekawszy pod względem plastycznym, a choć nierealny, gdy chodzi o możliwości naszej dzisiejszej techniki budowlanej, najbardziej sugestywnie przemawia do wyobraźni. Dodać należy, że autorzy postulują również koncentrację wszelkich środków komunikacji w tym rejonie. Dworzec autobusowy znalazłby się w podziemiach dworca kolejowego, tu zbiegałyby się trasy tramwajowe, zaś zagłębiona w „wawozie” i pozbawiona skrzyżowań ul. Narutowicza, zapewniłaby odpowiedni dostęp samochodom.

W ten sposób, nie wiedząc kiedy, zaczęliśmy analizować rozwiązania szczegółowe. Rozumiemy, że one właśnie najbardziej by interesowały Czytelnika, ale w konkursie, którego zadaniem było rozstrzygnięcie problemów ogólnych, szczegóły nie zostały ze zrozumiałych względów, dopracowane. Rzucono pewną ilość szkiców poszczególnych budowli, lecz raczej dla przykładu, dla wskazania wizji zagospodarowania przestrzennego, niż dla nich samych. Tu podkreślić jeszcze raz wypada, że był to konkurs urbanistyczny, a nie architektoniczny.

JAKIE PRZYNIÓŚŁ EFEKTY?

Mówi główny architekt m. Łodzi — inż. E. Budlewski, do którego zwracamy się z prośbą o ocenę wyników konkursu:

— „Każdy z zespołów przedstawił nam nie tylko swoją wizję plastyczną przyszłego centrum Łodzi, lecz również — własne metody programowania śródmieścia, własne obliczenia, dotyczące natężenia ruchu kołowego i pieszego, ilości interesantów w biurach, sklepach i instytucjach usługowych. Z tego z kolei wyciągano wnioski co do wielkości obiektów, szerokości ulic, powierzchni niezbędnej pod parkingi, itp.

Mamy więc niezwykle cenny materiał obliczeniowy i pewność, że nie pominięto żadnego z ważnych elementów, bo czego jeden zespół nie dopowiedział, to drugi — rozwinął. Z tego punktu widzenia, wszyst-

kie prace nadesłane na konkurs, przedstawiają dużą wartość. Nagrody zaś i wyróżnienia przyznano pracom, których autorzy ujawili szczególnie dużą dążą oryginalności i indywidualności, własny styl i chwyt.

Był to konkurs studialny i o realności projektów trudno w tej chwili mówić. Zanim opracowany zostanie ostateczny program przebudowy śródmieścia, przede wszystkim będą się musieli wypowiedzieć ekonomiści, zgodnie z zasadą mierzenia zamiarów na sily”.

★

Czuje, jak narasta twoja niecierpliwość, Czytelniku. W głębi ducha zadajesz sobie na pewno pytanie: dlaczego nie już, czemu tak długo zwlekają? Niestety, dziś — w dobie zaspokajania najpilniejszych potrzeb mieszkaniowych, muszą nas zadowalać skromniejsze posunięcia urbanistów, każdy usunięty dom-zawalidroga, każdy nowy skwer, czy śmiało przeprowadzone przedłużenie ulicy.

Powiedzmy więc sobie na zakończenie — mieć wizję przyszłości, a nie mieć jej, to duża różnica.

JULIAN BRYŚ

KONKURS NA ZAGOSPODAROWANIE PRZESTRZENNE ŚRÓDMIEŚCIA ŁODZI

JURORZY:

przewodniczący — mgr inż. arch. Zygmunt Skibniewski (Warszawa)

członkowie — prof. inż. arch. Zygmunt Majerski (Gliwice)
mgr inż. arch. Władysław Bryzek (Kraków)
mgr inż. arch. Eugeniusz Budlewski (Łódź)
mgr inż. arch. Cyprian Jaworski (Łódź)
mgr Henryk Sadowski (Łódź)
mgr inż. Wacław Filipowicz (Łódź)
mgr Halina Wiśniewska (Warszawa)
mgr inż. Andrzej Trochimowski (Warszawa)

UDZIAŁ WZIĘŁY ZESPOŁY:

1. Miejskiej Pracowni Urbanistycznej — Warszawa
2. Miejskiej Pracowni Urbanistycznej — Łódź
3. Zespół mieszany z różnych pracowni — Gdańsk
4. Politechnika Wrocławska
5. Politechnika Krakowska
6. Miejska Pracownia Urbanistyczna — Łódź
7. Instytut Urbanistyki i Architektury — Warszawa
8. Miejska Pracownia Urbanistyczna — Warszawa.

ZESPOŁY NAGRODZONE:

Nr 8 — Bogdan Wyporek, Janusz Cierpiński, Andrzej Jędraszko, Jerzy Dumnicki, Bohdan Kuś, Krzysztof Lubieński, Jerzy Skrzypczak, Barbara Wyporek.

Nr 6 — Wacław Bald, Kazimierz Bald, Aleksander Sliwiński, Aleksander Zwierko.

Nr 5 — Witold Czeklewicz, Zbigniew Gadek, Stanisław Juchnowicz, Andrzej Skoczek.

Redakcja „Odgłosów” z radością wita inicjatywę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, które w słusznym dążeniu do rozbudzenia zainteresowań przeszłością, teraźniejszością i przyszłością naszego miasta ustanowiło doroczne nagrody publicystyczne.

Mamy nadzieję, iż nagrody te przyczynią się do większego jeszcze niż dotychczas zainteresowania ludzi piszących bogatą problematyką Łodzi.

REGULAMIN NAGRÓD

Za najlepszy artykuł lub reportaż związany tematycznie z przeszłością, teraźniejszością bądź z perspektywami rozwojowymi Łodzi.

1. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, doceniając znaczenie powyższej problematyki ustanawia dwie doroczne nagrody w wysokości 2.500 zł każda. Nagrody te będą przyznawane za prace publikowane na łamach tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” dwa razy w roku: w dniu 22 lipca i 19 stycznia.

2. Pierwsza z tych nagród będzie przyznawana za artykuł lub reportaż o Łodzi dzisiejszej i jej perspektywach rozwojowych.

3. Druga z nagród będzie przyznawana za artykuł lub inny materiał publicystyczny, omawiający przeszłość Łodzi.

4. W dniu 22 lipca nagrody będą przyznawane za materiały publikowane w „Odgłosach” w okresie od dnia 15 grudnia do 15 czerwca. W dniu 19 stycznia będą przyznawane nagrody za publikacje zamieszczone w „Odgłosach” w okresie od dnia 15 czerwca do 15 grudnia.

5. Nagrody będą przyznawane za prace zarówno członków Związków Twórczych i Stowarzyszeń, jak i autorów niezrzeszonych.

6. W skład jury wchodzi przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i redakcji „Odgłosów”. Nazwiska jurorów będą każdorazowo zamieszczane na łamach naszego pisma.

Agnieszka z KOLUMBA

Dalszy ciąg ze str. 1

A więc Lucyna: ta znów poszła na studia medyczne, ponieważ w liceum dobrze uczyła się biologii i chemii. Zawsze wesoła, bezproblemowa, nie lubi komplikować życia sobie ani innym. Ma — podobnie jak inne — chłopaka, pół samca — pół debila. Żyje z nim pół-przyjaćielsko, pół-wesoło, z semestru na semestr przechodzi mniej wysiłkiem, bardziej sprytem, jej hobby to taniec, zabawa, płyty. Jest uboga: na droższe rzeczy ją nie stać, zresztą jakie są jeszcze rozrywki?

A więc Renata: skończona piękność. Tata i mama to ludzie z pozycją, bogaci. Na studia przyszła z braku czegoś lepszego do roboty, zresztą i tak przez protekcję. Bardziej szuka tutaj wyzucia i męża — kreusa niż wykształcenia. Odebrała od środowiska, trochę ponad nim, niezamężowana, otoczona adoratorami, pustka.

A więc Wiesia: córka rodziny chłopskiej, wychowana w kulcie dobrej roboty, świadoma celów do których dąży. Mało zdolna, pracowita. Działaczka w organizacji studenckiej — ta działalnością pokrywa kompleks niższości, wywołany (jakże by inaczej!) brakiem urody.

Wreszcie Wanda: po (bez tego ani rusz) zawoździe miłośnym, przesiąknięta cynizmem, ucząca się byle zdać i zaliczyć, czerpiąca z życia pełnymi garściami, bywalczyni nocnych lokali.

Te pięć sylwetek... powiedzcie, czy zbytnio odbiegała od wielu wyobrażeń o przeciętnej studentce AM?... Przedstawiłem je publicznie, i jeszcze doładowałem tego prowokując: oto portrety, czy prawdziwe? Czy poznajecie w nich własne twarze?

Wierzę: wiele trudu kosztowało mnie, by te mistyfikacje doprowadzić do końca. W każdym razie czuję, że niewiele brakuje, abym czymś ciężkim oberwał po głowie...

Jest więc lusterko obok drzwi, a w nim odbicia dziewczęcych twarzy. Twarze zatrzymują się na moment:

— Jaka jesteś, Agnieszko?

Zaangażowana?

Pani Anna Derejska, aktualna przewodnicząca Areopagu mówi:

— Moje wnioski, wyrosłe na gruncie trzech i półletniej obserwacji są raczej pesymistyczne. Wprawdzie można wśród dziewcząt zauważyć niekiedy coś w rodzaju chęci do działania, lecz też i na chęciach na ogół się kończy. Panuje moda na „tumiwizm”, ograniczanie się do bardzo wąsko pojmowanych studiów, i do chłopców, z którymi się „chodzą” — ale nawet i tutaj rzadko znajdziesz miejsce na prawdziwie głębokie uczucie...

Studentka Zofia Majewska (mężatka): — To niezupełnie tak: dziewczęta, zwłaszcza te na pierwszym roku są często zahukane i zagonione. Przyszły do Łodzi z małomiasteczkowych na ogół środowisk, świat ma tam inne wymiary, inny obowiązuje styl życia. Znalazłszy się w akademiku szukają autorytetów — i znajdują je przeważnie w którejś ze współlokatorek, dziewczynie starszej, lub po prostu bardziej bystrzej, inteligentniejszej. Potem działanie ich ogranicza się do zasady „za panią matką”. Z zaangażowaniem zaś tych „matek” bywa bardzo różnie.

Reporter: — Jest skłonny przyznać raczej pierwszej stronie. Zaangażowanie społeczne zwłaszcza jest rezultatem społecznego wychowania, to zaś nasza szkoła średnia daje przeważnie w sposób minimalny. Uczeloniom z kolei brak jest działania organizacji o charakterze ideowym. ZSP, niestety, coraz bardziej przemienia się (przynajmniej w łódzkim wydaniu) w coś w rodzaju związku zawodowego studentów.

Mówi p. Maria Chobod, kierowniczka II DS: — Mieszkanki DS są to w gruncie rzeczy osoby dorosłe, i jako takie mają swoje dorosłe problemy. Nie uważam, aby należało im życie (zwłaszcza kulturalne) organizować „na siłę”. No, np. ulgowe bilety do teatru to owszem. Nie mają wszak pieniędzy. Ale np. odczyty czy co innego? Jak która ma pójść do pódzie sama, albo ze swoim chłopakiem. Co do wychowania zaś i „umoralniania”, to należałoby przedtem stwierdzić, co też w gruncie rzeczy jest moralne, a co nie. W odniesieniu do odpowiedzialnych za siebie, dorosłych osób, wydaje się, że rzecz to nader trudna.

Pozwólcie, że pozostawię zdania te bez komentarzy — czas nam wrócić do lu-

stra, zebrać z jego powierzchni następny ślad:

„Ogarnięta żylową pasją?”

Jadwiga W., studentka:

— Cytując historie Moniki, Lucyny i innych o wszystkich powiedział pan, że na medycynę poszły przez nacisk domu lub zgola przez przypadek. Nie możemy zgodzić się z tym. Dlaczego nie wziął pan pod uwagę tej najpowszechniejszej przecież ewentualności, że większość z nas znalazła się tutaj ze świadomego wyboru. Ze większość z nas po prostu chce być lekarzami, pracować w tym zawodzie, nieść pomoc innym... (Przepraszam, czy nie brzmi to zbyt górnolotnie?)

Inna dodaje:

— Żadna z pańskich „Agnieszek” nie myśli o przyszłości. To także nieprawda. Przecież każdy rok zbliża nas do dyplomu. Mamy stypendia fundowane — wiemy już nie tylko to, jak będziemy pracować, ale nawet gdzie. Nie tylko jako kobiety, ale jako przyszłe lekarzy chcemy wszak jakoś ułożyć sobie życie...

Ja:

— Wiadomo, że odsiew na pierwszych latach studiów jest u nas ogromny, sięga 40 proc. Czy nie świadczy to o tym, że abiturienti szkół średnich przyszłe kierunki studiów wybierają przypadkowo?

One:

— Może tak jest gdzie indziej. Na medycynę dostać się jest zbyt trudno, aby ktokolwiek chciał z niej prędko zrezygnować... Prosimy sprawdzić!

Ja:

— Sprawdzam. Rzeczywiście! Spośród wszystkich łódzkich uczelni procent „odpadów” po pierwszym roku na AM jest najmniejszy!

... I oto w lusterku znów czyjaś twarz — jej zadaniem jest wprowadzić nas w problem następný:

Umiejęta organizować sobie czas?

Tutaj musicie zdać się wyłącznie na zmysły reportera; uczyni on za was to, że łotem błyskawicy obiegnie wszystkie pokoje i korytarze, zajrzy do stołówek, na sobotni „five o'clock”, zerknie w poczekalnie kin, teatrów i filharmonii, pobuszuje wśród stołków biblioteki, przejdzie się tramwajem, wreszcie siądzie na ławce w parku i zanotuje:

„Zgadza się. Pełno ich wszędzie. Nie wiadomo jak to robią, ale potrafią być i

tu i tam chyba jednocześnie. Kują. Stuchają płyt. Jak po stypendium to i na koncert, i do teatru. „Umodniają” sobie kiełki i piaseczki. Spiewają. Tańczą. Dyskutują (jeszcze jak!) Chodzą na randki. Czytają książki (dużo!) Lubią wiersze. Palasują z apetytem obiady. Śniadania i kolacje też, chociaż rzadziej. Śmieją się. Całują. Zaliczają ćwiczenia. Zdają kolokwia. Marzą. Placzą. Kochają się. Kto? Co jeszcze? Wszystko. I jakoś jedno nie przeszkadza drugiemu”.

...Zaczynasz mi sprawiać kłopoty, Agnieszko. Lusterko płaskie, dwuwymiarowe, a ty i trzeci i czwarty wymiar posiadasz. Jaka jeszcze jesteś?

Romantyczna? Wrażliwa?

Jerzy Lovell w reportażu „Wśród studentek” pisze: „Utarł się w środowisku studenckim zwyczaj zawierania sympatii opartych o stosunki pół-przyjaćielskie, a pół-erotyczne”.

Lovell — wiadomo — spec. Nie wierzyć nie wypada. Ale jak tu sprawdzić te opinie, gdy jest się tylko kilkunastowym gościem „Kolumba”?

Tych spraw dziewczęta nie zwykły powierzać nawet lusterku, zresztą czyż wypada być aż tak niedyskretnym?

W lusterku odbicie twarzy: odrobina szminki, kreska tuszu nad rzęsami. Estetyka — czy „żeby mu się podobała”? Chyba i jedno i drugie. Na razie on jest częstokroć tylko kimś mitycznym, kimś kogo się pozna, wybierze z nim może do kawiarni, a może zwyciężajnie poobkłada histologię, albo potańczy na sobotnim „fajfie”. Kogo się spotka potem jeszcze jeden i jeszcze jeden raz, z kim się pocałuje, kogo się wreszcie pokocha, albo zadurzy się w nim, do kogo w końcu będzie się należał.

Model „Wanda” — cyniczka to na prawdę model bardzo rzadki. Agnieszka jest romantyczna, Agnieszka przeżywa to, co robi, jakże bardzo przeżywa, i chył przed nią głową: Agnieszka jest wówczas kobietą.

... Co jeszcze powiesz mi, lusterko? Podobno nie kłamiesz, lecz czy ja potrafię odtworzyć zatrzymaną na twej lśniącej powierzchni rysunek? Cemu niespodziewanie rozmazał jego kontury, jak gdyby drzeć poczęło, potrząsało ramami?... Ach, rozumiem już: trzęsiesz się ze śmiechu!

To jasne: jesteś przyjaciółką Agnieszki, a ona wszak rzekła mi dziś: „I jeszcze na dodatek potrafię się śmiać...”

Cemu się śmiejesz, Agnieszko?

Ze mnie — obserwującego cię reportera — czy do mnie? A może z siebie samej — wiem, że kiedyś jest ci źle, kiedy ogarnie cię chandra, bo egzamin jutro, bo forsy mało, bo Zbyszek umówił się z inną, bo Hanka idiotka głupia klóci się nie wiem o co, bo szpilki w remoncie, bo głowa boli, bo obiad był kiepski, bo... — wówczas potrafisz się śmiać.

A może po prostu śmiesz się do świata?

To dobrze, to fajnie, Agnieszko. Śmieję się: twoje prawo, przywilej twój, śmiać się do świata, który taki pokraczny, taki wstrętny i taki cudowny, taki nieznaný i taki czekający na ciebie: dziś dziewczynę z lusterka w hallu, jutro umiejącą odnaleźć swoje miejsce w nim: leżarkę, nauczycielkę?

Od ciebie zależy kim będziesz, Agnieszko.

ANDRZEJ BAJKOWSKI

ZOFIA LORENTZ

O wileńskich „Promienistych” uczono nas w szkołach, a że w czasach okupacji istniała w Łodzi konspiracyjna organizacja pod nazwą „Promieniści”, dzisiaj wie już każdy łódzianin. Żyją nawet jeszcze jej członkowie. Mają naoczne świadectwo swych osiągnięć w postaci tablicy pamiątkowej na domu przy ulicy Piotrkowskiej, gdzie to swego czasu dokonali udanej akcji zabrania strzelb, rewolwerów i amunicji z nie mieckiego sklepu z bronią. Mają też także swoją literaturę.

Ale kto słyszał o Ognisku „Promienistych”, skupiającym współcześnie bardzo specjalną młodzież, bo... po wyrokach sądowych?

Zestawienie dość szczegółowe, ale dziś już trudno ustalić, czym się kierowali ci, którzy tę właśnie nazwę wybrali spośród miliona innych możliwych. Wiemy tylko tyle, że to w latach 1961/62, z inspiracji czterech kuratorów sądowych, Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej zdecydowało się utworzyć przy Sądzie dla Nieletnich taki ośrodek-ognisko i subsydiować go skromną dotacją na zakup sprzętu sportowego, wynajem boiska czy sali gimnastycznej.

Niedawno byłam zaproszona na zebranie, na którym zdawano sprawozdanie z trzyletniej działalności Ogniska i dokonywano wyboru nowego zarządu (w skład zarządu wchodzi kuratorzy i inspektorzy społeczni Sądu dla Nieletnich). Nie mam zamiaru relacjonować przebiegu tego zebrania. Wystarczy chyba gdy powiem, że mówiono o czymś, co powstało — z niczego, a co ocenić trzeba jako świadectwo pasji społecznej ludzi dobrej woli. Bo, jak się okazuje, są jeszcze tacy. Powiem więc tylko co jest teraz. A te dane pochodzą z moich osobistych kontaktów i obserwacji. Bo Ognisko „Promienistych” posiada już własną świetlicę i, choć nie mam za sobą żadnego wyroku sądowego, wolno mi tam przychodzić.

Gdzie to jest? Adresu nie podam. A nuż ktoś, poznawszy go, zechce wtargnąć do tego przybytku dobrej woli, o nią właśnie

zazdrośny? O tę dobrą wolę, na jaką jego samego nie stać? I zakłócić porządek praw tu przestrzeganych?

Bo tak już bywało. Więc nie chcę, aby tym razem — przeze mnie. I niechaj opis starczy za nazwę ulicy i numer domu, który jest przedwojenny, z wspaniałą bramą ażurową i ogromnych rozmiarów klatką schodową, wysokim sklepieniem i z frontonem bogato upstrzonym czerwonymi tabliczkami różnorodnych instytucji państwowych. Ale ta wspaniałość — to tylko pozory: przez wnętrze ażurowej bramy przechodzę tylko po to, aby wyjść przez nie na podwórze. Bo dopiero tam, poniżej parteru znaleźć można wąskie schodki, wiodące w dół, do piwnicy. Bo tu właśnie jest siedziba „nowych promienistych”.

W pierwszej chwili hałas ogłusza do tego stopnia, że nowo przybyły — baranieje: piłki ping-pongowe skaczą jak oszalałe; i nie dziwnego — bije nimi młodzież prag-

stała. Są dalej na wolności. Pełno ich na ulicach. Mają przecież dużo wolnego czasu. I nie lubią, gdy ktoś od nich odchodzi.

Więc któregoś dnia kilku takich, naturalnie pod gazem, wtargnęło do promienistych piwniczki z butlami w kieszeniach, po jednego, co z nimi przedtem pił. Chcieli go koniecznie zabrać, a gdy się wzbraniał, próbowali częstować na miejscu. Byli dużo starsi i byli pijani. Kierownik świetlicy, choć z bólem serca, lecz w obawie przed rozbiciem swego zespołu, ten raz jedyny zawezwał milicję...

Napisałam: „z bólem serca”. Skądże to wiem? Ach, przyglądam się przecież temu człowiekowi, gdy mówi o „swoich chłopakach” i o swojej z nimi robocie i obserwuję bywalców tej piwniczki, jakim wzrokiem patrzą na swego opiekuna, jakim tonem do niego mówią i myślę z żalem, dlaczego los nie pozwolił mu zdobyć wyższego wykształcenia psychologicznego, by

owej piwniczce, sprawa — zagadka; któregoś dnia na mój widok przerwało tam kilku chłopców swą grę w ping-ponga i zgłosiło się na rozmowę ze mną — bo „pani podobnie jest z tych, co piszą”. Nie zrozumiełi mego wyjaśnienia, że pisarz to nie dziennikarz. „Ale pani przecież pisała o tych z Domu Zatrzymań, i z sądu...” Istotnie pisałam. I widzę teraz, że mnie to do czegoś zobowiązało. Wysłuchałam więc zwierzeń tych chłopców nie tylko w celach użytkownika zdrowego w ten sposób materiału psychologicznego w następnej powieści...

Chodziło o hufce pracy. Formalnie rzecz biorąc.

Wiosną ub. roku ZMS prowadził akcję mobilizowania młodzieży do hufców pracy na wyjazd w dalekie tereny — do Szczecina, do Ketrzyna itp.

Sąd dla Nieletnich otrzymał propozycję kierowania do hufców swoich podopiecznych, wzgl. nawet chłopców po wyrokach. Skorzystał z tego skwapliwie. Nie mam danych, ilu kandydatów zgłosiło się na wyjazd. Mniejsza z tym zresztą. Fakt, że jacyś tam — byli. Właśnie w Szczecinie, właśnie w Ketrzynie. Obiecano im mieszkanie w domkach campingowych, dobre odżywianie, zapłatę do dwóch, a może i powyżej tysięcy złotych. Obiecano także organizowanie im wycieczek. Nic z tego nie dotrzymano: mieszkali w jakichś okropnych barakach, chodzili głodni od rana do nocy, na żadnej wycieczce nie byli. Ale co najdziwniejsze — nie dano im żadnej zapłaty. Że „później” — mówiono, że „ogłoszą” kiedy. Działo się to w lipcu.

W grudniu... tak jest — w grudniu, ukazała się notka w prasie, że mogą się zgłaszać do ZMS. I tu właśnie niespodzianka: niektórym wypłacono po kilkanaście złotych. Gdy żądali wyjaśnień, oświadczone, że odrzuciła się ponad 400 złotych za utrzymanie, a także za zgubione czy też skradzione koce. Stosując odpowiedzialność zbiorową.

I jak tu teraz wygląda akcja resocjalizacji trudnej młodzieży? Czy sprawa zaufania nie wchodzi w grę? Bo czyż ci chłopcy, którzy sami potrafili kłamać, oszukiwać i lekceważyć, i których się za to karze, nie doznali zawodu od tych właśnie, którzy im mieli pomóc w pokonywaniu tego rodzaju wad i uchybień?

Pytam kierownika świetlicy: — czy pan nie próbował interweniować? Oczywiście. Próbował. Chodził do ZMS, ale nie tylko nie osiągnął, lecz niewiele zrozumiał z ich wyjaśnień. Ostatnio zdecydował się zwrócić do inspektora pracy o radę.

Czy to nie smutne?

PRZYŁADEK dobrej NADZIEI

naca się wyżyć. Kibice walą oklaski lub miażdżą szyderstwem chronicznych patalogów: telewizor na pełnym gazie... Nie to jednak wszystko razem nie przeszkadza grającym w damkę, ani tym, co grzebią w książkach.

Skąd się tu wzięli? I dlaczego przychodzą ich tu coraz więcej?

Jest to chyba skutek podjętej ostatnio reklamy (świetlica istnieje dopiero od maja 1964 roku): w korytarzach Sądu dla Nieletnich rozwieszono barwnie skomponowane ogłoszenie, że ci, którzy nie chcą powtarzać swych błędów, którzy nie chcą więcej „włóczyć się” po ulicach — mogą przychodzić od godziny 16 do 20.

Świetlica w niedznej piwniczce wspaniałego gmachu jest świetlicą „nastolatków”, którym już raz powinęła się noga, jest tym właśnie przykładem dobrej nadziei. Bo przecież nieomal każdy z nich chciałby zapomnieć o tym, co było i... zacząć od nowa. Allicie istnieją tak zwani kumple, którzy ziemię wpływowi ulegli już raz i ów. I „podpadli” — jak to się zwykło mówić „fachowo”. Ale właśnie tylko on. Tym, już doświadczonym, nie się nie

mógł nim wesprzeć swoją metodę wychowawczą opartą wyłącznie na sercu i intuicji.

Dużo się mówi o braku kadr wychowawczych dla zakładów poprawczych i wychowawczych, czy schronisk dla trudnej względnie przestępczej młodzieży. Bo nie ma ludzi, którzy by się chcieli poświęcić bez reszty tym niewdzięcznym zagadnieniom. Cemu więc, gdy znajdzie się taki unikat, musi borykać się z tysiącem przeciwności czysto gospodarczych, by pchać, w tak wielkim i tak zagrożonym od strony przestępczości nieletnich mieście jak Łódź, tę swoją tak małą, że aż śmieszna placówkę po grudzie niedocenienia swej „dobrej roboty”? Czy doprawdy nie ma w środowisku innego lokalu, czy ta młodzież garnąca się do jakichś konkretnych zajęć po szkole czy po pracy, która chce zejść z ulicy, musi dusić się w pomieszczeniu pozbawionym wszelkiej wentylacji, w ciśniecie i tłoku?

A tyle się u nas mówi i pisze o resocjalizacji trudnej młodzieży!

O tę resocjalizację zahacza jeszcze Inna sprawa, z którą zetknęłam się także w

— Panie milicjanie! Panie milicjanie!

Milicjant jest groźny:

— Obywatelka płaci mandat za nieprawidłowe przechodzenie jezdni.

— Panie sierżancie! Niech pan mi wybaczy, nie zauważyłam czerwonego światła.

— Jak obywatelka zapłaci, nauczy się rozróżniać światła.

— Panie poruczniku! Już nie będę!

— Proszę płacić.

— Panie kapitanie kochany! Nie mam przy sobie pieniążków!

— Wobec tego spisuję mandatek.

— Panie majorze! Niech pan się nie gniewa.



Milicjant gdzieś znika: nie spisał mandatu!

str. 5

W Watts rojno. Uparty stary człowiek dopiął swego: dał ludzkom coś niezwykłego, coś co jednym przyniosło radość, innym natchnienie, innym wreszcie oderwanie się od obłąkanego kręgu codziennych dopotów. Dla tego roju ludzkiego rójkatna posiadłość biedaka sławia się prawdziwym PUEBLO NUE-
TRO.

A detailed architectural sketch of a tall, slender tower. The tower features a prominent spiral staircase that winds around its exterior. The structure is composed of many horizontal layers, each with a central vertical element. To the left of the main tower, there is a smaller, rounded structure with a dome and a small spire. The entire drawing is executed in a fine, sketchy line style on aged paper.

LECH UTRACKI

WIEŻE *w* WATTS

3 Simon Rodia urodził się w 1879 r. niedaleko Neapolu. Mając 12 lat wyemigrował do USA. Do czterdziestego drugiego roku życia jego zainteresowania, to kobiety i alkohol. Z zawodu był kafkarzem. Z wykształcenia? Nie jest pewne do dziś czy w ogóle umiał czytać. Jedyną posiadaną przezeń książką jest „Encyclopaedia Britannica”. W 1921 roku następuje nagła zmiana. Hulałka i babiarz rozpoczyna budowę swych wież, i dziełu temu oddaje się bez reszty, z pąsą, fanatyzmem

[illegible]

Nazywa się gronkowiec złocisty. Jest najczęściej występująca bakteria ropotwórcza. Po wprowadzeniu penicyliny wydawało się, że na-

Do walki ze złocistym wrogiem stanęli uczni. Próby stosowania nowych antybiotyków zawiodły. Zaczęto więc szukać innej drogi. Dzięki

długotrwałym obserwacjom stwierdzono, że w walce o byt gronkowice złościsty wydziela substancję białkową zabójczą dla jego współplemionców z tego samego gatunku. Nazwano ją lysozotinafą i wypróbowano na koleni gronkowiej. Efekt był natychmiastowy. Kolonia wyginęła. Dalsze doświadczenia na zwierzętach wykazały, że lysozotafina jest całkowicie nieszkodliwa dla dużych organizmów. Wydaje się, że gronkowice zostały zwyciężone. Czy jest tak w istocie — pokaże czas.

MAREK BRONIKOWSKI

Ze świata Nauki

ZŁOCISTY NIEPRZYJACIEL

Znajduje się wszędzie. W pyłe ulicznym, w powietrzu, na ubraniu. Powoduje najróżniejsze schorzenia ropne jest główną przyczyną czyraków i zastrzałów. Staje

SŁOŃCE W ŻRENICACH

Wszedł do wagonu i rozejrzał się. Tuż przy wejściu była wolna ławka. Naprzeciwko siedziały dwie kobiety. Jedna z nich wydała mu się nijaka, ani brzydka, ani ładna, ani młoda, ani stara, ale ta druga obok, siedząca przy oknie, była piękną dziewczyną. Gdy zajmował miejsce spojrzano na niego ogromnymi, piwnymi oczami, po czym odwróciła głowę wpatrując się w peron za oknem.

— To miejsce jest wolne? — spytał.

— Wolne, proszę pana — powiedziała nie odwracając głowy. Zauważył, że ma ładny, miły głos.

Wrzucił walizkę na siatkę, usiadł i zapalił papierosa. Pociąg ruszył. Pasażer sięgnął do teczek i wyjął kilka ilustrowanych czasopism. Gdy otwierał teczkę i zaszeleścił tygodnikami dziewczyna przestała patrzeć w okno i spojrzano na niego. W jej oczach było coś dziwnego, coś czego nie umiał określić. Wydawało mu się, że jej wzrok przenika go, że dziewczyna patrzy poprzez niego nieruchomym spojrzeniem gdzieś w dal. Potem oparła głowę o miękkie oparcie ławki i opuściła powieki. Pomyślał, że się nudzi.

— Może chce pani przejrzeć „Przekrój”? —

Uśmiechnęła się.

— Nie, dziękuję — powiedziała cicho nie otwierając oczu.

— A może „Świat”? Nie będzie się pani nudziła.

— Ależ ja się nie nudzę — odparła żywo nie otwierając oczu. — Widzę, że zaopatrzył się pan w pokątną ilość czasopism — powiedziała po chwili.

— Och, proszę pani, kiedy wybieram się w drogę kupuję całą masę pism. A potem przerzucę jedno, drugie i jakoś nie mogę się skupić. Czasem za oknem jest coś ciekawego, albo zacznę rozmowę z piękną sąsiadką, jak na przykład teraz...

Przerwała mu śmiejąc się. Wydawała się szczerze ubawiona.

— To taki z pana podrywacz? — zażartowała z nutką ironii.

Jestem niezręczny, pomyślał, trzeba było jeszcze poczekać z komplementami. Ta dziewczyna jest jakaś inna niż wszystkie. Znowu zabrał się do przeglądania czasopism. W pewnym jednak momencie dziewczyna poprosiła go, żeby otworzył okno.

— Tak dziś ciepło — powiedziała.

— Istotnie, śliczny dzień — odezwał się uradowany, że rozmowa znów się nawiązuje. Opuścił okno i do wagonu wdarł się świeży strumień powietrza. Ciepły wiatr rozwiewał czarne włosy dziewczyny. Uśmiechnęła się poddając twarz podmuchom.

— Tak ładnie świeci słońce — powiedział po chwili, a niebo...

— Jakże jest niebo? — spytała nieoczekiwanie.

Nie wiedział o co jej chodzi.

— No, niebo jak niebo, chyba niebieskie.

Roześmiała się głośno. „Niebo niebieskie”. Czy naprawdę nie potrafi pan określić tego koloru nieba? Niech się pan dobrze przyjrzy. Przecież może być jasne, białawe jak powleczone mgiełką, albo intensywnie niebieskie, albo jak kolor morza, lub jak farbka do prania. Inne jest przecież na wiosnę, inne w środku lata, a jeszcze inne teraz. Albo jesienią... takie ciemne, ciężkie jakby oliwiane.

Dziwna jakaś dziewczyna, pomyślał. Mówi jak z książki. Czy naprawdę warto się zastanawiać nad tym, jakiego koloru jest akurat niebo? Najważniejsze chyba, że jest pogoda.

— Niech się pan nie przejmuję — powiedziała dziewczyna, kiedy przysiadł. — Grecy choć byli wielkimi artystami także nie zadawali sobie trudu określając barwy. U Homera morze jest tego samego koloru co ziemia i brwi Zeusa. Przepraszam — dodała po chwili — jeśli pana uraziłam.

Popatrzył na nią. Jakże ma dziwne oczy, pomyślał. Gdzie ja to czytałem: „W jej oczach przegląda się noc”. W jakimś wierszu. Ale to chyba o takich właśnie oczach. Ciemnych o rozszerzonych źrenicach, patrzących gdzieś w dal. W jej oczach przegląda się noc.

— Pani zapomina, że Homer był ślepy — odparł trochę zniecierpliwiony.

— No, więc coś z tego — odpowiedziała dziewczyna. — Żył przecież wśród widzów. Umiał i to z ogromną plastyką opisywać sceny bitewne, krajobrazy, ba, nawet potrafił drobniutko opisać tarczę wojownika. Nie czytał pan Iliady?

— Tak, trochę, tyle co w szkole.

— To ciekawe — mówiła dziewczyna jakby do siebie — jak ludzie określają barwy. Właściwie ograniczają się niemal

z reguły do wymieniania tylko głównych, choć przecież istnieje takie przebogactwo barw, odcieni, tonów, stopni nasycenia, taka różnorodność.

— Pani jest malarką? — spytał.

— Ja? Ależ skąd? Nie, proszę pana, jestem dziewiarką.

Więc to stał do zainteresowanie kolorami, osądził. Dziewczyna ma do czynienia z barwnymi dzianinami, może musi dobierać kolory, wyrabiać desenie.

— I pomyśleć, że świat właściwie jest bez barwy — powiedziała znowu nieoczekiwanie.

— Tak, tak, oczywiście — potwierdził przypominając sobie lekcje fizyki. Ale w szkole nie interesował się tym zbyt, a tym bardziej nie uświadamiał sobie tej prostej przecież prawdy, że gdyby nie było oczu nie byłoby i barwy.

— Promieni ultrafioletowych ludzie nie odbierają wcale. Pszczoły zaś je odbierają i dlatego mak nie jest dla nich czerwony jak dla człowieka. Bo kwiat maku odbija promienie właśnie ultrafioletowe.

— A jak widzą pszczoły mak? — zapytał.

WACŁAW MROZOWSKI

Spojrzenie wstecz

*Jak kwiatów garść na świeżą ziemię
rzucam spojrzenie wstecz,
na drogę, którą wraz z milczeniem
przeszedłem zjawą, snem, marzeniem
po czarnołoskiej rzeczce.*

*Wcześniej się darłem przez gąszcz mowy
uparcie niczym kret —
jak winem rozwierzałem głowy;
językiem prostym i surowym,
jak szczurólapa flet.*

*Owoców z cudzych drzew nie rwałem,
swoją własną ogród mam;
w żadnej orkiestrze nie grywałem
i zawsze własne nuty miałem
więc z własnych dalek gram.*

*Na bocznych torze, zwierzę szczute,
od wielu stoję lat
ustami wciąż mi szypią buty,
żem alkoholik niepoprawny,
jaśnego nie znał świat.*

*To zawiść pewnie ich rozpięta,
że się ten talent ma.
I jasna bierze ich cholera
gdy wiedzą, że ich maski zdzieram,
co są jak zera dwa.*

*Niewiele życia już zostało;
a w nim, samotny trakt,
na którym, myślę, ocalało
to wszystko, co się ukochało:
bijące serce.*

Fakt.

Rozmowa

*Poeta:
Za oknem śnieżny wulkan bucha;
a tu kominiek, czajnik z gwizdkiem;
żona i córka wiatru słucha.
Na ścianie cienie. Trzy. Nas wszystkich.*

*I biurko. Moje stare biurko;
jak dąb wiekowy pochylone —
coś więcej trzeba, moja córko;
myślę wpatrzony w nią i żonę.*

*Jesteśmy jak śniegowe płatki
cieniem na ścianie roztańczone —
trzy różne życia, trzy zagadki —
poeta, młoda córka, żona.*

*Iglitwie trzeszczy, iskry lecą,
a my zapadliśmy w milczenie —
w półmroku rozjarzonym światłą
niech rozmawiają nasze cienie.*

*Cienie:
— Patrz fotografia. — Ach to żona;
feniks, co spala się w mym kręgu;
nad moim życiem pochylona.
— A obok? — Małgorzata obok
trochę dziewczynny, tak jak obok
w migocie gwiazd na widnokręgu.*

— A tutaj widzisz?

*Poeta:
Ach marzenia.
Nie ma nikogo. Pokój pusty.
Nie... i kominika, świec i cieni
I nas też nie ma. Złotousty*

*poeta w wyobraźni chmurze
tonące na trawie narkotyku
zatrzymał fragment snu na piórze —
snu, który z jawa był na styku.*

— Przecież przed chwilą mówiła pani zupełnie coś innego.

Uśmiechnęła się.

— Uczył się pan na lekcjach fizyki, że barwa zależy od długości fal świetlnych wysyłanych przez poszczególne przedmioty. Jest tylko fala, która dociera do naszego wzroku. A więc barwa to zjawisko subiektywne. Przedmioty, które widzimy jako białe odbijają wszystkie długości fal, czarne wszystkie pochłaniają, zielone odbijają fale o średniej długości, czerwone zaś tylko fale długie.

— Tego ludzie nie dowiedzą się nigdy, jak nie dowiedzą się jak pszczoła widzi barwę czerwoną i żółtozieloną. Nie odróżnia jednej od drugiej.

Zastanawiające, pomyślał, ta dziewczyna musiała chyba studiować wiedzę o barwach. Tylko po co? Dla dziewczynki zagadnienie jak widzi pszczoła nie jest przecież istotne.

— Kiedy byłem mały — powiedział — myślałem, że każdy przedmiot pociągnięty jest warstwą farby, tak jak drzwi, ściany pokoju czy rama roweru. Wtedy myślałem, że na wiosnę ktoś po prostu

maluje liście drzew i płatki kwiatów i trawę i wodę w stawie. Co mnie zdumiewało, że woda w stawie nie była zawsze jednakowego koloru. Raz była niebieska, innym razem zielonkawa, a kiedy nabierałem ją do rąk stawała się bezbarwna. Przeciekała mi przez palce ale ręka pozostawała czysta. Farbk nie było. Nie mogłem tego zrozumieć. A potem już się nad tym nie zastanawiałem.

Pociąg wjechał w las ciągnący się po obu stronach toru. Drzewa przesłoniły słońce. Od lasu ciągnął rześki, wilgotny wiew.

— Lubię te szpilkowe lasy — powiedziała dziewczyna wyglądając przez okno. — Tak ładnie pachną żywica, zwłaszcza w upalne parne dni.

Oho! Teraz zacznie o zapachach — pomyślał. — Będzie znowu maleńki wykładzik. Oczywiście, dojdziemy do wniosku, że świat jest właściwie bez zapachów, bo to też zjawisko subiektywne i psychiczne i gdyby nie było nosów, nie byłoby zapachów.

— Zabawna z pani dziewczyna — powiedział.

— Czemu?

— Czy ja wiem? Tak się z panią jakos zupełnie inaczej rozmawia niż z innymi.

Odwróciła głowę i spojrzano na niego dziwnymi oczami o rozszerzonych źrenicach, jak po zażyciu atropiny.

— O! Niech pani spojrzy — powiedział wskazując na pole za oknem. — Jak się pani podoba ten kolor gryki i jakby go pani określiła.

Popatrzyła przez okno.

— Gryki?

— Tak. Kwitnącej gryki. Przecież pani widzi.

— Białe — powiedziała.

— Białe? — zdziwił się. — Przecież najwyraźniej różowy.

— Jak to? — spytała jakimś dziwnym tonem. — To w takim razie nie gryka.

— Czyż pani nie widzi?

Odwróciła głowę od okna. Przez jej usta przebiegł ledwo dostrzegalny uśmiech, może wyraz bólu.

— „Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dziecięca pała...” —

wyrecytowała dzwicznym, nawykłym do deklamacji głosem. — Ktoś tu nie ma racji, albo pan, albo Mickiewicz.

— Może to zresztą i nie gryka — odpowiedział niepewnie. — Nie znam się na rolnictwie.

W tym momencie uświadomił sobie jednak, że nie o to ją pytał. Zwrócił jej uwagę na kolor gryki, a ona mu odpowiedziała, że widzi biel. Czy z niego kpila? Może tylko żartowała? Spojrzano na jej twarz. I wtedy nagle ujrzał to, czego nigdy nie widział w oczach żadnego dotąd człowieka. Słońce świeciło jej prosto w twarz. I odbijało się w jej rozwartych źrenicach. Dwa małe błyszczące krążki świeciły w każdym jej oku. A ona nawet ich nie zmrużyła.

* * *

Późne lato roztaczało cały przepych barw. Niebo było już różowawe, gdy rozpalone słońce o kolorze rubinu dotykało dolną krawędź pociemniałej zieleni świerków.

Świat jest bez barwy, myślał, świat jest bez barwy. Nie istnieje barwa, której nikt nigdy nie widział. Kolor to zjawisko subiektywne. Patrzył na naturę jakby ją pierwszy raz w ogóle widział, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył rude ryzyko, i trawę późnego lata i własny cień nie szary, ani czarny, ale nasycony kolorem w zależności od tego czy kładł się na piasku, czy na trawie, czy też na korze brzozy. Dostrzegł to po raz pierwszy, choć przecież zawsze musiało tak być.

Wtedy kiedy zobaczył słońce w oczach dziewczyny chciał coś zawołać, ale oparł się. Spytała go czemu milczy. Odpowiedział, że się zamyślił. Ma dostać nowe mieszkanie, więc chce... Chciał jej powiedzieć, że zastanawia się skąd i jakie weźmie meble, ale ona zaczęła mu doradzać, jak ma pomalować to nowe mieszkanie. Mówiła o doborze barw, kontrastowaniu tonów, jasności, o wariantach kolorów, jakie można uzyskać z trzech barw: czerwonej, niebieskiej i żółtej. Radziła, że jeśli pomaluje sufit na intensywny kolor niebieski, niech ściany zrobi jasnożółte. Musi też pamiętać, że jeśli sufit jest jasnoszary a ściany po koło czerwone, to sufit będzie wyglądał jak zielonkawy.

Gdy pociąg przystanął, wysiadł. A teraz szedł niosąc w oczach kolory późnej jesieni, barwy pól i lasu stojącego za świeżo żoranym ryskiem. Barwy, które niezależnie od ludzkich, zwierzęcych czy owadzych oczu nie istniały wcale. Były fantomem, sprowadzały się w swej istocie do długości i energii świetlnych fal.

Zerwał jakiś polny, błękitny kwiat i dotknął delikatnie palcami płatków. Nie mógł i teraz, jak dawniej w dzieciństwie, uwolnić się od myśli, że płatki są po prostu pomalowane.

JAN KOPROWSKI

"KONCERT" w Teatrze JARACZA

Szanowni Czytelnicy zechcą mi wybaczyć, że zacytuję z niego siebie. W listopadowym numerze „Twórczości” z 1963 roku w artykule z okazji stulecia urodzin Hermannu Bahra pisałem m. in. o nim: „Podsuwałem dyrektorem paru teatrów „Koncert” do wystawienia, ale żaden z nich jakoś się nie zdecydował. Przecież jest to sztuka dla aktorów (role i to jakiej!) i dla widzów (powodzenie murowane!), a wreszcie nie pozbawiona walorów literackich i artystycznych”.

Dzisiaj słowa te straciły na znaczeniu, albowiem dyrektor Feliks Zukowski zdecydował się ją wystawić, sam ją wyreżyserował i oto od kilku dni publiczność wali głumnie na „Koncert”, śmiejąc się i aplauzując przy otwartej kurtynie. Przyznaję się bez bicia, że bardzo ten „Koncert” Bahra lubię. W dramaturgii światowej, dawnej i współczesnej, znajduje się kilka takich, a może nawet kilkadziesiąt utworów, których żaden teatr nie może pominąć. Są one różnego ciężaru gatunkowego, tzw. poważne, tzw. lekkie, ale każda z nich daje nie byle jakie szanse aktorom i widzom, sprzymierzając ich ze sobą, wzrusza, bawi i uczy.

Kłóć z widzów, słuchając „Koncertu” Bahra, uwierzy, że komedia ta powstała przed blisko sześćdziesięciu laty, bo w 1909 roku. Język jej brzmi jak dawny, a treść, choć nie lada majstra, a treść, choć stara jak świat, bynajmniej nie zwietrzała. I pomyśleć tylko, że jest to okres, w którym pisali Przybyszewski i Maeterlinck, d'Annunzio i Wedekind. Wszyscy oni okropnie się zestarzała i są już właściwie wie nie do grania. Siedząc na widowni Teatru im. Jaracza dumam: — Moj Boże, jakże ubogo przedstawiają się umiejętności wielu naszych dramatopisarzy, jak kłauw ich język, jak nieudolnie prowadzony dialog, jak by im na naukę do Bahra, przyjrzyć się budowie intrygi, rozsypanym hojnie pomysłom, cenniejszym, która tak jest obecnie w sztuce ceniona. I dalej: ileż jeszcze rzeczy jest do odkrycia. Rzeczy napisanych przed półwieczem i wcześniej, a zapomnianych, zlekceważonych, zaprzepaszczonych. Teatry nie powinny się lenić w poszukiwaniach. Każda epoka, nawet ta najbardziej zlekceważona, chowa skarby do odkrycia. Główne utwory Hermannu Bahra powstały w okresie, który dziś nie cieszy się łaskami u historyków literatury: w okresie modernizmu. Bo choć autor żył dłużej (ur. 1863, zm. 1934), najbujniejszy rozkwit jego twórczości przypada na czas, zwany u nas czasem Młodej Polski. Bahr (przynajmniej w „Koncercie”) umiał wyzwolić się z pęt konwencji literackiej, która wówczas panowała. Nie zawierał jej tak jak inni i dlatego wygrał. „Koncert” daje aktorom ogromne możliwości wyzyskać. Zna Bahra była aktorką, co nie pozostało bez wpływu na kreślone przez niego sylwetki. W jego komediach nie brak ról kobiecych, na brak których tak cierpi nasza dramaturgia współczesna. Nawet role epizodyczne, marginalne są w jego sztukach żywe, wdrażają się w pamięć. Gdy odsłania się kurtyna, w pierwszej scenie pierwszego aktu „Koncertu” oblega pianistę

Heinkę aż siedem jego wielbicielów, które z wyjątkiem jednej (Ewa), nie pojawiają się już w aktach następnych. A jednak zapamiętamy je. A przecież poza nimi są jeszcze trzy duże role kobiece: Maria Delfina i Pani Pollinger. No i trzy znakomite role męskie: pianista Gustaw Heink, doktor Franciszek Jura i gajowy Pollinger. Słowem: prawdziwy koncert ról i postaci.

Przedstawienie w Teatrze im. Jaracza jest bardzo udane. Bawiłem się świetnie, tym lepiej, że nie na premierze. Nie lubię premier prasowych i tzw. publiczności premierowej. Jest ona za mało „zasnuowana”, za mało uważająca grama, wszystko w niej na wszystkim się zna. Każdy robi jakąś „gębę”, że posługuje się wyrażeniami Gombrowicza. Wole siedzieć wśród publiczności normalnej, nie zaproszeniowej. To nie, że nie zawsze reaguje ona dostatecznie żywo i spontanicznie. Bierz się to zapewne stąd, że publika normalna czuje się w teatrze nieco onieśmielona. Teatr nie jest dla niej zjawiskiem powszednim, ale umie ona bawić się i przeżywać przedstawienie.

Nie piszę recenzji w ścisłym znaczeniu tego pojęcia, więc nie obowiązuję mnie opis gry aktorów. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności zwrócenia uwagi na bogatą galerię postaci „Koncertu”. Przede wszystkim dwie główne role męskie: Marian Nowicki jako pianista Gustaw Heink i Kazimierz Iwiński jako doktor Franciszek Jura. Pierwszy: artysta, pieścił powódź, wrażliwy na urok liczących wielbicieli, potrzebujący kobiecej „opieki i pomocy”. Marian Nowicki „zreperował” postać z przymrużeniem oka i wdziękiem, i wiasne o to chodzi. Drugi: doktor, trochę warjat, trochę udawacz, inicjatywny, zabawny. Kazimierz Iwiński jest lepszy, niż mogłem przypuszczać. A ich żony: Maria Kozierska (Maria Heink) i Alicja Zomer (Delfina Jura)? Zupełnie odmienne, skonstruowane, wnoszą do komedii kobiecej spryt i kobiecość „niezaradność”. Aleksander Fogiel jako gajowy Pollinger — soczysty i dosadny. Nie stety, nie widziałem w tej roli Feliksa Zukowskiego, a razem reżysera przedstawienia. Ale rolę reżysera spełnił na czwórkę z plusem: nadal sztuce wartkie tempo i wniósł wiele pomysłów i scenariuszy. Wspomnijmy jeszcze Lenę Wilczyńską (Pani Pollinger), zahukaną żonę gajowego — pijusa, dobrą w sylwetce, pogodzoną z losem, ustatkowaną. No i, na koniec, barwny korowód wielbicieli pianisty Gustawa: Ewa Mirowska (zabawa Ewa Gerndt), Mirosława Marcheluk (Pani Claire Floderer, pyszna głosowa), Maria Górecka (Miss Garden), Bożena Darlak (Pani Fanny Mall), Alicja Krawczykowa (Pani Selma Meier), Barbara Jaklicz (Pani dr Kann) i w roli zakochanej i zapłakanej pokojówki — Krystyna Froehlich.

Czy to już wszystko? Aha, przecież to bardzo ważne: przedstawieniu dodają blasku dekoracje i kostiumy zaprojektowane przez samego mistrza Jana Marcina Szancera. Ludzie kochani! Idźcie na „Koncert”, nie pożałujecie.

P. S. Przy sposobności chciałbym zwrócić uwagę na program teatralny. Artykuł Stanisława Kaszyńskiego o Hermannie Bahrze oraz esej o sztuce aktorskiej, napisany przez tegoż Bahrę i przełożony przez tegoż Kaszyńskiego, złożyły się na swobodny dokument, który nie tylko warto przeczytać, ale i zachować.



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

KOBIECY z KARTY MIENNEGO GNIAZDA

Nieopłacalność majątku ziemskiego Niskavuori, konieczność zmuszająca jego dziedziców do szukania ratunku przed groźbą rozdrobnienia posiadłości rodzinnej w posagach małżonek, przy pomocy których to posagów zostają spłaćeni ci spadkobiercy, którzy oddają swe schedy jednemu z utrzymujących się przy majątku dziedziców — oto podłoże melodramatu fińskiej pisarki Helli Wuolijoki, autorki „Kobiet z Niskavuori”. Na straży dziedzictwa stoi Stara Gospodyni Niskavuori, której syn Aarne „idzie za głosem serca” i dla pięknej nauczycielki wiejskiej Ilony porzuca żonę i dzieci. Z kolei żona, Marta, mszcząc się opuszcza dwór w Niskavuori i wycofuje swój posag.

Domyślamy się, że równie lekkomyślnemu jak romantycznemu Aarne zabraknie środków finansowych na spłacenie sched spółspadkobierców i że nad majątkiem zawisnie jak miecz Damoklesa groźba rozdrobnienia czyli parcelacji pięknej siedziby rodowej.

Jak więc widzimy, autorka buduje typowo melodramatyczną sytuację, według trącającego myślą schematu: rozsałek a uczucie, względnie: pieniądze lub miłość. Sprawa pogarsza fakt, że piękna Ilona, która „rozbiła rodzinę” ma być „kobietą wyzwoloną” trochę według dziesiętnastowiecznych pojęć, wyższą ponad rację pieniądza, rozsądku i obyczajów. A co gorsza, że ta „wzrostła” sceniczna szelusta nieco papierem reprezentując to, co nazywaliśmy, i jeszcze teraz nazywamy, „nowe” w zmaganiach ze „starym”, przy czym „nowe” naturalnie musi zwyciężyć.

Tak skonstruowany schemat pod piórem wybitnego pisarza mógłby wznieść się do rangi wielkiego tematu, w którym odwieczny „mit ziemi” względnie, jeżeli państwo wolicie, „zaw ziemi” przegrą z nieubłaganą surowością przeznaczenia w swe jarmazmo każdorazowego dziedzica, składa dającego ziemi w ofierze swój los, swoje życie osobiste, swe szczęście i swe uczucia.

Niestety, Helli Wuolijoki nie starczyło sił na udźwignięcie tak pojętego konfliktu i dlatego zamiast dramatu otrzymaliśmy sztukę obyczajową o podłożu melodramatycznym, wypraną niemal całkowicie z poezji, która mogłaby mieć wiele do powiedzenia w utworze nasyconym folklorem i atmosferą kraju lasów i jezior, jak jest Finlandia. Zawiodły — gdyż nie mogło być inaczej — próby interpretowania konfliktu trzech kobiet, jako centralnego problemu dramatu na tle swojskie rozumianej obyczajowości i tradycji Finlandii, w której kobiety jakoby posiadają „przewagę” w hierarchii rodzinnej. Dowiadujemy się o tym z dobrze napisanego artykułu do programu, ale nie znajdujemy potwierdzenia tej tezy w samej materii sztuki. Przedmiotem, zwycięstwo nad obłędem kobieci, matka i żona odnosi meczystwa, lekkomyślny i romantyczny Aarne.

Wykonawcy z godnym podziwu wysiłkiem robili wszystko, aby przekroczyć granice konwencji, w jakiej została napisana sztuka, to znaczy, granice płaskiego realizmu. Niestety, nec Hercules contra... tekst. Dlatego więc, nie pokazano nam, gdyż było to niemożliwe, „ludzi ziemi przypisanych”. Zbyt wąta była w tym sensie ma-

Barbara Walkówna — nauczycielka i Krzysztof Chamiec — Aarne w sztuce „Kobiety z Niskavuori”

teria dramatu. W uznaniu podjętych jednak w tym kierunku wysiłków należy na pierwszym miejscu wymienić Hannę Małkowską, jako Starą Gospodynię Niskavuori i w miarę prymitywną i zachłanną — jakby tego chyba pragnęła autorka — Barbarę Jaklicz w roli posiadaczki posagu i znieważonej żony. Natomiast bezduszny tekst paraliżował szlachetne próby Barbary Walkówny w roli nauczycielki Ilony, której postaci autorka nie potrafiła wyposażyć w tyle liryzmu, ile by się jej należało, ani też — pogłębić jej „filozofii” życiowej. Może najlepiej poradził sobie z mieliznami w sztuce Wuolijoki Krzysztof Chamiec, który grał jakby na pół serio, ze szczyptą nonszalancką, a w każdym razie bez nadmiernego przejęcia się rolą, nie podkreślając melodramatycznych momentów w banalnym konflikcie małżeńskim.

W scenach epizodycznych interesujące sylwetki będące małymi etudami charakterologicznymi stworzyli: Jan Zbiróg w roli starego nauczyciela, Józef Łodyński w roli aptekarza i Aleksander Fogiel w roli pastora.

Scenografia Ewy Sobolowej utrafiła dobrze w nastrój kamiennego Gniazda; równo z kostiumy i układ postaci scenicznych (zwłaszcza na początku pierwszego aktu — jak na staroświeckiej fotografii) miały coś z surowości fińskiego klimatu i pejzażu. Należy to zawdzięczać reżyserii Ewy Bonackiej.

Sztuka cieszy się i będzie cieszyła się chyba długo jeszcze powodzeniem. Publiczność odbiera łatwo prosty tekst i śledzi z przejęciem perypetie nieszczęśliwych kobiet z Niskavuori.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM		
POLONIA — „Królowa Krystyna”	15 seansów	7.559 widzów
WŁOKNIARZ — „Rękopis znaleziony w Saragossie”	12 seansów	5.084 „
TEATR		
NOWY — „Pan Geldhab”	3 spektakle	1.900 — 85%
— „Pastorałka”	4 spektakle	2.400 — 85%
— „Wice i Wacek”	1 spektakl	500 — 70%
NOWY (Mała Sala) — „Indyk”	2 spektakle	400 — 100%
— „Drewniana miska”	3 spektakle	600 — 100%
— „Radosne dni”	1 spektakl	180 — 85%
JARACZA — „Koncert”	6 spektakli	3.800 — 93%
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie”	3 spektakle	1.664 — 83%
— „Ktoś nowy”	3 spektakle	1.350 — 67%
— „Robin Hood”	2 spektakle	1.284 — 96%
— „Niewidzialny Książę”	2 spektakle	1.309 — 98%
7.15 — „Pani Prezesowa”	7 spektakli	2.835 — 92%
OPERA — „Legenda Bałtyku”	1 spektakl	711 — 100%
— „Manon”	1 spektakl	680 — 95%
OPERETKA — „Ułani Księcia Józefa”	7 spektakli	4.003 — 52%
FILHARMONIA — Koncert pod dyr. K. Missony z solistka B. Hesse-Bukowska	2 koncerty	1.200 — 80%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

LECH PIJANOWSKI

Bardzo broniłem się przeciwko filmowi „Czerwona pustynia”.

Nie lubię opowieści o neurastenicznych kobietach na granicy choroby psychicznej; zdecydowanie nie lubię na ekranie świata zaludnionego tylko bohaterami niezbędnymi do konstrukcji opowieści; nie lubię także (do czego czasem, ze snobistycznych głównie względów, trochę wstyd się przyznać) opowieści niezdanych, filmów, w których niewiele się dzieje, mało dramatycznych, szlachetnie nużących, relacjonujących głównie lub wyłącznie subtelnie, jak to się mówi, drgnienia duszy. To wszystko, i więcej jeszcze, czego nie lubię, znalazło się w nadmiarze w „Czerwonej pustyni” Antonioniego – a film obejrzałem z zainteresowaniem, dużą satysfakcją, będąc o nim długo myśląc.

Najważniejszych źródeł zainteresowania filmem odnajduję w pamięci co najmniej trzy: aktorstwo, formę plastyczną i... problem (jednak, tak).

Aktorstwo, to Monica Vitti w roli Giuliany, kobiety, która po szoku, doznanym w wypadku samochodowym, nie może, nawet nie bardzo chce znaleźć swoje miejsce w otaczającym ją, obojętnym i wrogim świecie przedmiotów, barw, kształtów, ludzi. Giuliana jest więcej niż neurasteniczka; jest jakby przeczulonym instrumentem, zanurzonym w sprawy, które nie ją nie obchodzą, w niczym nie

wnątrz; twórca filmu ukazuje je w sposób najbardziej wymowny, identyfikując świat zewnętrzny ze sposobem jego odbierania przez bohaterkę – nie jesteśmy wewnątrz opowieści realistycznej, lecz relacji subiektywnej o tym, co widzi i co czuje bohaterka. Ludzie i rzeczy są niby normalne, ale barwę mają intensywniejszą lub całkiem zgasła, kształty zaś groźniejsze, bo-

w dziedzinie skutecznego, uderzającego właściwego zastosowania barwy w filmie nieprędko uda się komukolwiek przewyższyć Antonioniego.

Powiedziałem na wstępie, że broniłem się przeciwko „Czerwonej pustyni” z wielu względów; wcale nie najbłahszy z nich to podstawowy problem filmu: wyobcowanie człowieka ze świata, nieludzkość cywilizacji, we-

nnych twórców, działa na nim zbyt wielu głośniejszych krzykaczy i przesadnych „demaskatorów” – nie łatwiejszego, niż zarzucić dwudziestemu wiekowi, że jest nieludzki, antyhumanistyczny, straszliwy.

To właśnie czyni Antonioniego w „Czerwonej pustyni” – ale on nie krzyczy, nie wykonuje patetycznych gestów, lecz chłodno, na jednym tylko, wybranym przykładzie,

może intensywności rozdzwieku między życiem a światem.

Ten rozległy temat nie po raz pierwszy powraca w dziełach Antonioniego, w których filmach z reguły o te sprawy właśnie chodzi (i to najczęściej również oglądane oczyma kobiet) – konsekwencja twórcy budzi nie tylko szacunek, lecz i podziw: Antonioni wciąż umie powiedzieć coś nowego, ważnego, prawdziwego w sposób, który zmusza i do oglądania i do myślenia.

Swoją sztuką Antonioni potwierdza rzeczywistą godność współczesnego kina i jego największe ambicje – można jego filmów nie lubić, ale trzeba przyznać, że są to filmy wielkie, ważne w rozwoju współczesnej kultury. Jeśli kilka razy do roku można coś takiego o nowych filmach powiedzieć, jest to dobry rok.

Co się dzieje?

Muzeum Sztuki wspólnie z Biurem Wystaw Artystycznych w Łodzi podjęły bardzo potrzebne, choć nienową akcją upowszechniania sztuki współczesnej wśród mieszkańców wsi, osiedli i małych miasteczek naszego terenu. Specjalne zestawy malarstwa współczesnego pojadą do wiejskich domów kultury, przyzakładowych świetlic i wiejskich klubów prasy i książek. Takie wystawki, połączone z odczytami i projekcją dobranych tematycznie filmów krótkometrażowych, mają i powinny spełnić poważną rolę w procesie wychowywania świadomych i dojrzałych odbiorców nowoczesnej (a trudnej) twórczości plastycznej. Dużo się o tym ostatnio mówi i pisze. Cel jest ze wszech miar szlachetny, zaś jego realizacja – godna serdecznej zachęty.

Są jednak kłopoty i rozdarcia wewnętrzne, toczące dusze organizatorów akcji „Zbliżania odbiorców”. Oto, powierzone gwałtownie pląsać, dzieła naszych artystów, pozostają najczęściej bez najmniejszej opieki czy troski ze strony niegościnnych widać gospodarzy odwiedzanych placówek (kulturalnych). Wracają więc z dalekich wojaży okaleczone, nierzadko i pocięte przez wandalów, zniszczone bezmyślnie – owoce czyjegoś trudu i pasji.

Bywa, że przy organizowaniu wystawy, malarze odmawiają użyczenia swoich obrazów, odkąd zwrócono im portret z domalowanymi wąsami, czy pejzaż górski okraszony dopiskiem anonimowego informatora: „wiem gdzie to jest ze Stefanem”...

Ja natomiast nie wiem, gdzie jest w takiej chwili opiekun placówki, gdzie jest miejscowe koło ZMW, gdzie jest aktyw kulturalny danej miejscowości, który nie umie czy nie chce sobie uświadomić własnej odpowiedzialności za sprawny przebieg tego, co górną nazywamy rewolucją kulturalną, a co jest po prostu nieuchronną koniecznością czasu.

* * *

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej musiał odwołać planowaną w lutym przedstawienia „Nornej opowieści” m. in. w Rozprzys, Łowiczu, Szczercowie i Uniejowie z powodu zimna panującego w oferowanych wędrującej Melpomenie pomieszczeniach.

Gospodarze tych są nie dba o specjalnie o umożliwienie kulturalnej rozrywki swoim współmieszkańcom, skoro „nie palą” się do przyjęcia teatru.

Czy też nie pomyśleli, że Muzea również może mieć angina?

(H. K.)

NIELUDZKA Pustynia

haterka jest między nimi uwieczniona bez ratunku. To się czuje – to Monica Vitti gra bezbłędnie. Gdyby aktorstwo głównej bohaterki było słabsze, bardziej na pokaz, bardziej zewnętrzne, film stałby się składanką nieważnych zdarzeń, powierzchownie powiązanych postacią smutnej historyczki – ale aktorstwo Moniki Vitti jest czymś, co nasyca film psychologiczną prawdą, uogólniającą głębią.

O plastycznej formie „Czerwonej pustyni”, o rewelacyjnym wręcz zastosowaniu barwy w tym filmie pisał zgodnym chórem w superlatywach wszyscy krytycy od dnia premiery filmu. Niepodobna się z tego chóru wylamać – istotnie barwne zdjęcia „Czerwonej pustyni” są rewelacyjne i to niejako „dwuwarstwowe” – i same w sobie, i w służbie całości filmu.

Mamy do czynienia ze współczesnym, skrótowym i wyrazistym malarstwem na ekranie, którego wymogom wiele podporządkowano: granica nieba i morza może być fioletowa, a pomarańcze na straganie szaropopielate. Gotów jestem przypuścić, że gdyby „Czerwona pustynia” nie wyrażała żadnych treści i nie opowiadała o niczym, stanowiąc tylko zbiór barwnych fotografii – i owe fotografie, ze względu na ich niezwykłość i jakość, byłyby warte oglądania, przynosiłyby satysfakcję estetyczną; skrajnie konsekwentna dyscyplina plastyczna, podporządkowana temowi filmu, jest czymś wciągającym bez reszty.

Antonioni komponuje barwy świata w sposób skrajnie indywidualistyczny, całkowicie swobodny; dowodem, że postępuje słusznie i artystycznie celnie jest dla mnie fakt, iż dziwność, nienaturalność, straszliwość pokazywanego świata zdaje się tkwić w nim samym, nie w jego barwach; nie dziwiłem się wcale, że pomarańcze są szare, dym żółty, a morze fioletowe, przeciwnie, czułem, że tak być powinno, to właśnie jest jeśli nienaturalnością, to w każdym razie prawdą. Formie „Czerwonej pustyni” nie sposób zarzucić, że jest tylko wyrażoną formą – raczej żalonne wrażenie kolorowych pocztówek z fotoplastikonu sprawia po obejrzeniu „Czerwonej pustyni” większość barwnych filmów, które nie są przecież w produkcji światowej rzadkością. Myślę, że

wewnętrzna samotność... Uznaję w pełni wagę i realność tego tematu; niejedyn film o tym zrobiono i niemal zawsze wyzuchać się dawała pretensjonalność, „filozoficzność” rozprawy ze światem, z cywilizacją, z człowiekiem... Nie jest to łatwy teren dla autentycz-

stwierdza. Kto chce, może opowiedzieć o Giulianie traktować tylko jako studium neurozy współczesnej u jednej, niezwykłej w końcu kobiecie – kto chce, może łatwo dopatrzeć się w dziełach Giuliany analogii do wielu losów ludzkich, o mniejszej



dotyczy, których jest wiele, choć pokazane zostały w urywkach. Maż gdzieś pracuje i dokądś wyjeżdża; kochanek będzie budował fabrykę w Ameryce Południowej i zdobywa do tej pracy ludzi; przyjaciółki i znajomi też mają jakieś swoje własne sprawy... Ze wszystkiego, co dzieje się wokół, do Giuliany dociera właściwie tylko choroba jej dziecka – przeciwko reszcie świata jest ona jak gdyby „szczępiona” i nie ma ucieczki; gdy w desperacji spróbuje właśnie dosłownie uciekać, spotka tylko brudnego marynarza, mówiącego w nieznanym języku, który patrzy na nią – i słuszenie! – jak na dziwko, zwirowaną zjawę, człowieka nie przy zdrowych zmysłach.

Jesteśmy zresztą cały czas na krawędzi – mówiąc krótko – wariactwa: Giuliana jest tak wyobcowana ze świata, że brak bardzo niewiele, by się ostatnie wiezy, które ją łączą z otoczeniem, zerwały. A jednak bohaterka „Czerwonej pustyni” nie patrzy wzrokiem obłądnym i nie toczy plany z ust, skądże – zachowuje się po prostu, zwyczajnie, zewnętrznie wręcz normalnie. Rozprzeżenie, rozkojarzenie, rozdarcie jest we-

KRONIKA Antytelewizyjna

Dlaczego tak lubimy Ryszarda Serafinowicza? Dlaczego na prowadzonych przez niego quizach panuje zawsze taka miła i swobodna atmosfera? Wydaje mi się, że tajemnica sukcesu pana R. S. polega na dwóch cechach jego osobowości: na nieklamanej życzliwości dla uczestników konkursów (jak ten Serafinowicz się martwi, kiedy jego „pacjent” czegoś nie wie!) i na jego ujmującej prostocie (R. S. ani myśli pozować, że wie, na co umarł Mozart, jaka jest odległość do Andromedy i kto jest prezydentem jakiejś nowo powstałej republiki).

A więc prostota i życzliwość: prawda, że to niewiele? Te codzienne i spowszedniałe zalety cechują przecież nas wszystkich. Nie wierzę mi, Czytelniku? To poobserwuj siebie i swoje otoczenie.

Tydzień pod znakiem medycyny: Czarujący dr Kildare walczy do upadłego o życie pacjenta.

Potem Teatrzyk Sfinks – i wykonywana na poczekaniu wymiana serc.

A w programie lokalnym Wiesław (też czarujący) Jażdżyński mówi o lekarzach szkolnych, którzy badają 100 dzieci w dwie godziny.

„Tak to czasem biednych ludzi rzeczowość ze snu budzi...”

Swoistym i pełnym fantazji numerem popisowym na sztywnej telewizji jest tzw. prześławianie łącz, powszednia czynność związana ze zmianą stacji nadającej prog-

ram. Dla tych technicznych misteriów decydujące znaczenie ma sprawność stacji przekątnikowych, na które wpływają czynniki techniczne, psychologiczne i metafizyczne, nastroje i stany gastryczne obsługi, jej uczucia patriotyczne związane z jubileuszami, obchodami i odsłonięciami, emocje życia obywatelskiego oraz reumatyzm, katar sienny, lumbago oraz kumkanie żab.

A widz telewizyjny jest mało wyrozumiały: chciałby żeby zmiany łącz były po prostu sprawne.

Pocziwcy, pracowity, rzetelny i arcyinteligentny dr Kildare jest nie tylko bożyszcem podlotków i pań w pewnym wieku. Jest również sprawcą szczególnego społecznego zjawiska: znajomy lekarz powiedział mi, że armia hipochondryków już zwróciła uwagę na ten cykl telewizyjny, i w poczekalniach lekarskich coraz częściej zjawia się pacjent, któ-

ry sam postawił diagnozę a teraz usiłuje ją uwzględnić lekarzowi, powołując się przy tym na przykłady z filmu o doktorze Kildare.

Zastawki (np. widok Rynku Krakowskiego, a na tym tle napis „Telewizja Kraków”) to dla każdego ośrodka telewizyjnego jakby wizytówka na drzwiach. Może i rzecz nie najważniejsza, ale chyba godna chwili zastanowienia. Ładne zastawki ma Kraków: wiadomo, że architektura... Na podobnej zasadzie pomyślane są zastawki Gdańska, ostatnio ujrzałyśmy w dzienniku udaną zastawkę TV Szczecin.

A Łódź? Okropne, nieczytelne zdjęcie z dachu wieżowca znużyło nam się już od dawna. Chcemy estetycznej zastawki, i jeśli zarwiecie fotografię, niech ŁÓT wspomaga plastycy. Byłoby wizytówka była estetyczna i mówiła coś o naszym mieście.

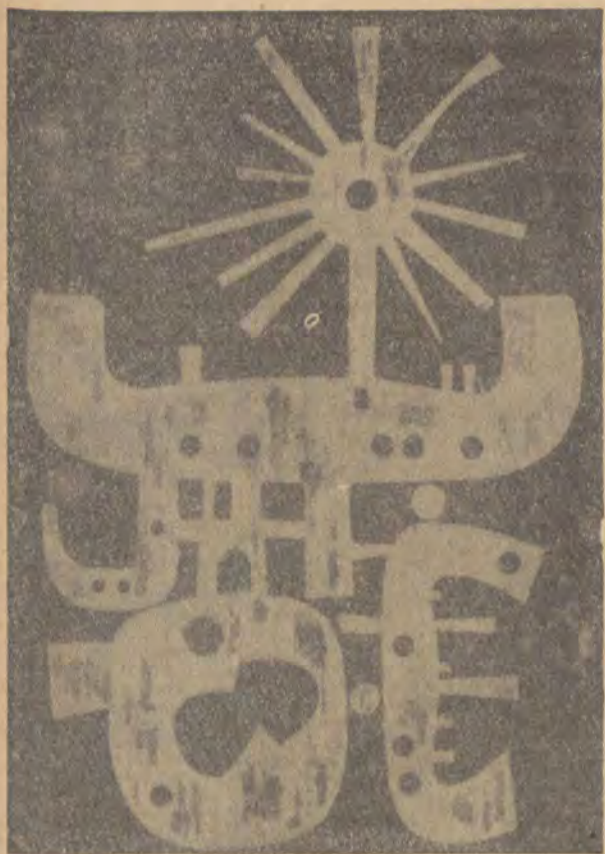
ta biedna ofiara grypy szepce, chrzypi i sepleni.

Pierwsze łódzkie w ogólnopolskim programie spotkanie z poetą uznać możemy za udane. Marian Piechał na tle pejzażu naszego miasta był bliski, szczerzy i przekonujący. Nawet scenografia drugiej części tej audycji, choć zbyt już chyba surrealistyczna, nie zmąciła dobrze podanych przez K. Chameca i J. Walczaka, szlachetnie brzmiałych wierszy.

Zawsze wysoko cenimy od wagę młodości. Wiemy też, że trudno jest nie pisać satyr. Ale żeby debiut satyryczny „Małego” Toeplitza umieścić w programie tuż po Kabarecie Starszych Panów... no, no!

Ponieważ sąsiadstwo zobo- wiązuje, następny program jednoosobowego teatryku-satyry KTT proponujemy zademonstrować widzom raczej tuż po wieczornym re-laksie.

S. M.



Jaroslav Kralik: Z cyklu Konstelacje

Nad górą Wartą i Pilicą

W końcu ubiegłego roku ukazała się na półkach księgarskich książka Ryszarda Nazarewicza „Nad górą Wartą i Pilicą”. Duże grono ludzi zainteresowanych tą problematyką z niecierpliwością oczekiwało tej pozycji.

Trud, jaki podjął R. Nazarewicz przedstawiając działalność i walkę PPR, GL i AL w okręgu częstochowsko-piotrkowskim, zasługuje na najwyższe uznanie. Dla nas mieszkańców ziemi łódzkiej, wszakże to tym bliżej, że opracowano ważny fragment historii części tych ziem, który dotąd był w badaniach naukowych niemal całkowicie pominięty.

Ryszard Nazarewicz podejmując temat pracy musiał być w nie lada kłopotach, bo obok wielu rozrzuconych, stosunkowo skąpych źródeł archiwalnych trzeba było sięgnąć do wspomnień działaczy z tego okresu, aby o białe źródła uzupełnić. Relacje

tego typu w każdym historyku, wzbudzają niepokój, ponieważ przekazane wadomości są fragmentaryczne, a także jednostronnie nasycone. Mogł wzbudzać pewne obawy fakt, że autor, będąc aktywnym uczestnikiem tych wydarzeń, będzie pewnie sprawnie widział przez pryzmat swych poglądów i powiazań politycznych. Tak się jednak nie stało. Obok obszernych danych źródłowych, w całości tej książki jest jej daleko idący obiektywizm.

Okręg częstochowsko-piotrkowski, któremu poświęcono 384 str. druku, odgrywał w okresie okupacji hitlerowskiej ważną rolę w walce z okupantem. Trzeba przyznać, że był trochę sztucznie stworzony, bowiem obejmował i część terenów dawnego województwa łódzkiego, i część obecnego województwa katowickiego. Wiązały jak gdyby te ziemie trzy miasta: Piotrków, Radomsko i Częstochowa oraz ukształtowanie terenu, duże zaludnienie, idealnie nadające się na działalność partyzancką. Dla Niemców okręg ten posiadał duże znaczenie strategiczne. Leżał w centrum Polski, przebiegało przez niego wiele ważnych linii komunikacyjnych granica pomiędzy Generalną Gubernią a Rzeszą, dysponował ważnymi gałęziami przemysłu, dostarczał żywności i siły roboczej. Stąd też hitlerowcy tak zażarcie bronili tych ziem i dążyli do zlikwidowania podziemia, zwłaszcza działalności komunistów.

W książce, z drobiazgową dokładnością, autor odtworzył dzieje zmagania z wrogiem od

początku okupacji, aż do jej ostatnich dni.

Mimo że przez cały ten okres hitlerowcy posiadali ogromną przewagę, a komuniści nie stanowili w podziemiu większości, to jednak ruch komunistyczny stanowił dla Niemców najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

W pracy R. Nazarewicz przytacza interesujące dane o systematycznym wzroście lewicowego ruchu oporu, mimo straszliwych represji stosowanych przez gestapo. O ile w sierpniu 1943 r. organizacja liczyła 223 członków partii, to w grudniu 1944 już 740.

To porównanie jeszcze jest korzystniejsze w stosunku do Gwardii Ludowej czy później Armii Ludowej. Od małego oddziału Franka Zubrzyckiego, do brygady, liczącej ponad 4 tysiące ludzi, walczącej każdego dnia bez wytchnienia, z jednym tylko rozkazem: niszczyć wroga!

W tych zmaganiach oddało życie wielu ideowych ludzi, często ginęły całe organizacje partyjne. Nie wszyscy stracili życie z ręki okupanta hitlerowskiego, wielu poległo z ręki rodziwych faszystów.

R. Nazarewicz przedstawił w swej pracy nie tylko działalność PPR i AL, ale również pokusił się o pokazanie działalności i innych organizacji wówczas działających, tak politycznych jak i wojskowych. Ten fragment pracy jest najpoważniejszym osiągnięciem, bowiem autor wydobł bardzo ciekawe materiały o działalności AK, BCH, Zagadnienia te, jak wiadomo, w literaturze nie znalazły prawie w ogóle oświetlenia.

W przeciwieństwie do innych okręgów współpracę AL z AK, a zwłaszcza z BCH oceniono pozytywnie. NSZ na tym terenie reprezentowały odłam skrajnie faszystowski, co poważnie wpłynęło — jak stwierdza autor — na odwołanie stosunków między AL, a AK. NSZ dokonywały wielu mordów tak na działaczach PPR, jak i AL, wspólnie z gestapo tropiły ich i likwidowały. Wiele tego typu wystąpień ma na swym sumieniu enigmatyczny oddział „Żbika”. Mimo że śladów ruchu komunistycznego ze strony prawicy podziemia, PPR i AL nie dały się sprowokować do walk bratobójczych, które mogłyby być korzystne dla hitlerowskich okupantów.

W końcowej części książki Nazarewicz przedstawił proces kształtowania się organów władzy ludowej, a więc powstawania rad narodowych: wojewódzkiej, powiatowych, miejskich i gromadzkich.

Podkreślając duże walory naukowe tej pracy, należy jednak zwrócić uwagę na nie-

które jej niedostatki. Trudno zrozumieć dlaczego w publikacji naukowej nie wyjaśniono dokładnie tragicznej śmierci komunisty Mariana Głaba, Zginął, jak należy przypuszczać, z ręki drugiego komunisty. Ale dzisiaj za mało powiedzieć, że była to „samowola trudna do wytłumaczenia nawet w ówczesnych warunkach”. Albo sprawa morderstwa oficera bezpieczeństwa w sztabie III brygady AL, „Jastrzębia” i grupy aelców przez drużynę AK „Balona” z batalionu „Warszycy”. Myślę, że i tę sprawę można było wyjaśnić. Gdyby na przykład autor sięgnął do na pewno znanych mu akt tzw. archiwum „Warszycy” znajdujących się w Sądzie Wojewódzkim dla m. Łodzi, to znalazłby ciekawe oświetlenie tej zbrodni. Ponadto w tym samym sądzie znajdują się akta procesu samego wykonawcy tego morderstwa wspomnianego wyżej „Balona” (Kopyto vel Kopytowski).

Również nie uniknął autor pewnych powtórzeń, na przykład przypis 287 ze str. 335 jest znów podany na stronie 337.

Zdarzają się i inne drobne niedociągnięcia, nie zmienia to jednak faktu, że książka Ryszarda Nazarewicza jest studium poważnym, przekazyującym nam ogromną wiedzę o ludziach tych lat i ich walce, potwierdzającym jeszcze raz dobitnie, że w przeciwieństwie do londyńskiej i akowskiej taktyki, orientującej się na masowe powstanie i niedrażnienie wroga, skuteczną okazała się polityka PPR i jej organizacji zbrojnych, taktyka — nieustannej walki z wrogiem, z jednoczesnym tworzeniem podwalin aparatu przyszłej władzy ludowej i skupianiu wokół siebie innych elementów demokratycznych.

Zapowiedziane przez PPR postępowe przemiany polityczne i społeczne urzeczywistniono po 1945 roku.

Na zakończenie chciałbym z uznaniem podkreślić, że Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej wydało książkę ładnie i pod każdym względem starannie. Obok bogatego materiału ilustracyjnego, map i szkiców, zawiera ona spis źródeł i literatury, indeks nazwisk oraz świetną obwolutę korespondującą z całością.

TADEUSZ TELMA

Ryszard Nazarewicz — „Nad górą Wartą i Pilicą”. Wyd. MON, W-wa, 1964, str. 442.

Podręcznik z książkami

KSIAŻKA O CONRADZIE

Dla miłośników twórczości Josepha Conrada polecamy nową książkę, która się właśnie ukazała, w serii zasłużonej Biblioteki „Polonistyk” pod redakcją J. Z. Jakubowskiego. Na tom, opracowany przez Różę Jabłkowską, składają się: biografia Conrada, kalendarium, następnie rozdział „Joseph Conrad w oczach rodziny i przyjaciół” oraz „Joseph Conrad o sztuce pisarskiej i o sobie”. W tym ostatnim rozdziale pomieszczono szereg listów Conrada do Anglików i Polaków, w których ten znakomity autor uchyla rąbca swych tajemnic twórczych.

Choć książka pomyślana jest dla młodzieży studenckiej, może ona zainteresować każdego czytelnika, ciekawego życia i twórczości Conrada. W ostatnich latach literatura Conrada w Polsce wzbogaciła się o szereg cennych i ciekawych pozycji. Dziś dysponujemy już w polskim języku sporą ilością dzieł, poświęconych Conradowi. Wydana obecnie pozycja z Biblioteki „Polonistyk” popularyzuje postać Conrada wśród szerszych rzesz czytelników. Duża ilość ilustracji wzbogaca treść i charakter omawianej publikacji.

J. K.

Joseph Conrad Korzeniowski, opracowała Róża Jabłkowska, Warszawa, 1964, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych.

„KWIECIEŃ”

„Kwiecień” to tytuł drugiego tomu wierszy Zbigniewa Jermyna, autora wydanych niedawno „Lokacji”. Wspomniane tomy wierszy poprzedziły publikacje jego tekstów poetyckich w pismach literackich, które ukazywały się chyba od dziesięciu lat. Można więc mówić w pewnym sensie o opóźnionym debiucie. Ale opóźnienie debiutu w tym przypadku — wydaje się korzystne. Przede wszystkim dlatego, że otrzymaliśmy tomy zwarte, dojrzałe, rysujące ostro sylwetkę poetycką Jermyna, wyróżniającą go dodatnio wśród rówieśników.

Zbigniew Jermyna uprawia poezję intelektualną, zdyscyplinowaną, podporządkowaną jednolitej wizji. Można dopatrzeć się w tej poezji zafascynowania Norwidem. Może dlatego spotyka się w jego poezji często wiersze zawierające definicje, definicje określające własny świat, sposób widzenia i stosunek poety do świata, bynajmniej nie ugięty, nieodpowiedzialny do końca, ale podporządkowany zdyscyplinowanej wizji.

Jeśli można mówić o jakichś wpływach, to będzie to przede wszystkim niewątpliwie związek poezji Jermyna z muzyką. Uderza też silny związek tej

poezji z tradycją narodową. Stąd też może ten osobny niepowtarzalny kształt wierszy Jermyna, stąd jego odrębność, to co wyróżnia go od rówieśników.

Nie chciałbym mówić, że Jermyna jest tradycjonalistą, że poezja jego jest łatwa — bynajmniej. Lekkość tych wierszy wymaga od czytelnika wysiłku. Jermyna posługuje się zupełnie nową, na własny użytek wypracowaną, subtelną metaforą. Wiersze jego są trudne, są nowoczesne w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jego związek z tradycją polega na swobodnym odwołaniu do starych form wiersza polskiego i na ukośnieniu. O ile byłbym uboższy w krajoznawstwo i polski, gdybym nie znał tych wierszy.

JHW

Zbigniew Jermyna „Kwiecień” — PIW, Warszawa, 1964, str. 63, cena 10 zł.

„NIEBIESKIE PTAKI”

„Niebieskie ptaki” (vel „Młody wiatr”) Michała Rusinka należą nie tylko do książek o młodości, czyżby, a ściślej autora, poezji; należą przede wszystkim do książek, które z przynajmniej jedną z nowych generacji przetrwały młodość. Toteż nie dziwnie, że III już wydanie niewielkiej książki nie zagościło długo na półkach księgarskich.

Rusinek skromnie nazywa „Niebieskie ptaki” opowieścią w dwunastu gawędach; jest to raczej dwanaście doskonałych opowiadań z tym samym narratorem, który zresztą tylko w jednym wypadku jest ich bohaterem. Autor ciekaw, subtelny rysunek rysuje przede wszystkim to, epokę e.k. w Krakowie, chociaż niekiedy ramy czasowe zostają przez niego rozszerzone (opowiadanie „Duch Słowackiego”) na pierwszą połowę XIX wieku, a nawet na czasy nam współczesne („Młodość i beben” czy „Białe gołębie”). Ale rysunek epoki, która najbardziej zaabsorbowała uwagę pisarza odbiega mocno od tych schematów, jakimi dotychczas karmiono nas malując czasy e.k. w Galicji. To nie drwina z urzędów politycznych, nie paszkwil na urzędników i organizację życia społeczno-politycznego, nad którą unosi się duch Franciszka Józefa, ale kilka „ludzkich historii” wzruszających albo budzących gniew, a opowiedzianych żywo i świeżo, gdyż Rusinek przygląda do nich sposobem widzenia dziecka lub młodzieńca dającego prawdziwy popis doskonałego warsztatu pisarskiego.

Wydaje mi się, że książkę tę może wziąć do ręki czytelnik dojrzały i młodociany, jak i niekształcony, przed którym otwierają się coraz szerzej drzwi nowych bibliotek.

Tymi słowami z przedmowy autora mogę polecić „Niebieskie ptaki” do czytania, że żadne z tych zapewnień pisarza nie mijają się z prawdą.

K. F.

M. Rusinek „Niebieskie ptaki”, Wyd. „LSW”, 1964, str. 243, cena 15 zł.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Teatr TV pokazał nam „Ifigenię w Taurydzie” Goethego. „Ifigenia” była napisana w 1779 r. Autor występował na scenie teatru w Weimarze w roli Orestesa. Przed wyruszeniem wojsk greckich na Troję zaplanowała cięsa morska i okryła nie mogły wypłynąć. Wówczas mówiła o zagniewanej Artemidzie, która żądała ofiary. Ofiarą miała być Ifigenia. Orestes Klitemnestry i Agamemnona króla Myken i Argos. Gdy jednak sprawa podsunęła na ołtarz na jej miejsce łanię na ofiarę uprowadzając Ifigenię jako swą kapłankę do Taurydy. Tragedia jest kontynuacją tego mitu. Konflikt w utworze polega na walce „starego” z „nowym”, pod którym

poeta rozumiał zwycięski humanizm i miłość do człowieka. Nie irracjonalne Fatum, lecz sam człowiek kształtuje swój los: taką treść ideową wpisał Goethe w tematyczną antyczną opartą na tragedii Eurypidesa. W roli głównej występowała Zofia Mrozowska. Orestesem był Łomnicki, Arkasem — Kondrat, Pyladesem — Zapasiewicz, królem — Boroński. Tylko artyści tej miary mogli udźwignąć w TV temat klasyczny.

WTOREK

„Grupa łódzka” (Piałkowski, Głowacki, Krygier, Kunka, Pierzalski, Starczewski, Tyszkiewiczowa, Wegner i Zieliński) wystawiła swe prace w Galerii Sztuki Nowoczes-

nej w Warszawie na Starym Mieście. W przedmowie do katalogu prof. Henryk Anders stara się znaleźć definicję dla wspólnej postawy Grupy proponując określić ją jako kreacjonistyczną. Nie bardzo się z tym można zgodzić. W literaturze używa się pojęcia „kreacjonizm” dla utworów będących produktami czystej fikcji artystycznej, niekiedy o wymowie symbolicznej (typowy przykład „Wizyta starszej pani” Dürrenmatta), jednak związek utworu z rzeczywistością nie zostaje zerwany w takim stopniu, jak w malarstwie — abstrakcjonistycznym. Dlatego — w obawie przed pomieszczeniem pojęć — termin abstrakcjonizm należy uznać chyba za bardziej odpowiedni dla malarstwa „Grupy łódzkiej”, której wysoki poziom artystyczny wydaje się wyównany tak, że choćże zanalizować uroid i odrębność wystawionych obrazów, należałoby omówić po kolei wszystkie wystawione prace.

ŚRODA

Warszawski Teatr Akademii wystawił jedną z

dwóch nagrodzonych na IV konkursie równorzędnymi pierwszymi nagrodami sztuk. Na pierwszy ogień poszła sztuka Macieja Z. Bordowicza „Ida” o poranku” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Recenzenci warszawscy surowo ocenili spektakl i sztukę, która posiada wiele elementarnych błędów. Niemniej sztuka jest dziełem niewątpliwego talentu. Albowiem Teatr Akademii zademonstrował świetnie opartą na rzemiołstwie kreując znakomite role i epizody.

CZWARTEK

Nie powinno się chodzić na takie atrakcyjne wystawy jak Zarzany Jakubowski w Biurze Wystaw Artystycznych na Piotrkowskiej. Nie powinno się chodzić, gdyż czy wyrywają się do jej pięknych rysunków, tuszów, sepi, tempory i gwaszu, i chciałoby się zabrać ze sobą do domu „Jaskółki II”, „Bróg z siłami” lub „Piernikowe domy”. Cóż, kiedy chuda kiesa nie pozwala na zaspokojenie tych estetycznych ciągów.

PIĄTEK

Dużym powodzeniem cieszyła się wśród miłośników kina „Beata”, film o niezgodzie młodych na dzisiejsze życie rodzinne i szkolne. „Beata” widać zakładanie dorosłych (w osobach jej rodziców) i hipokryzję pedagogów (szkolnych) i buntuje się przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Sukces aktorów Poli Raksy w roli tytułowej, nastrojowe zdjęcia, humor i liryzm wynagradzają pewne niedorównanie interesujące po sławionego problemu.

Reżyseria: Anna Sokołowska. Zdjęcia: Jacek Korcelli.



SOBOTA

Stowarzyszenie Artystów Rzeczpospolitej Polnicy, czyli popularny SARP, urządziło w auli Uniwer-

sytetu Łódzkiego w Bibliotece wystawę architektury radzieckiej. Wystawa ogranicza się do ekspozycji fotofosów, bez makiet i planów statystycznych. Niemniej fotofosy demonstrowały nam wiele interesujących osiągnięć, na przykład, eksperymentalne budownictwo mieszkaniowe z tworzyw sztucznych, typowe leżnie domy wypoczynkowe, motele, budynki produkcyjne nowego typu, budownictwo sportowe.

NIEDZIELA

Działalność posadziły na „omazurowanym” Wydziale Kultury PRN i Zrzeszenie Studentów. Obie te szanowne instytucje urządziły w końcu stycznia „Turniej jednego wiersza”. Do jury zostali zaproszeni Marian Piechal, Tadeusz Chrościelewski i Tadeusz Glogier ze Związku Literatów oraz ob. H. Skwarzyńska i ob. Roman Górski. W turnieju brało udział 40 osób, które podchodziły do mikrofonu i czytały swe wiersze. Entuzjazm, oklaski itd. Alści, gdy przyszło do rozdania nagród, okazało się, że Szanowny Wydział

Kultury „ufundował”... tylko jedną nagrodę w wysokości 500 zł i drugą w wysokości 300 zł, zaś Zrzeszenie Studentów... rzeczową nagrodę wartości 300 zł. Skonsternowani jury ratując sytuację i honor „fundatorów” zrzekli się własnych honorariów z tytułu pełnienia obowiązków sędziowskich, przekazując należne im z tego tytułu kwoty do puli nagród. W ten sposób udało się ustanowić jedną pierwszą nagrodę w kwocie 700 zł (M. Szargan), dwie równorzędne drugie po 500 zł (H. Puto i H. Zielińska) oraz trzy trzecie nagrody po 300 zł (T. Gabryśiewicz, F. Ratajański i K. Święcki). Nieładnie, panowie z Wydziału Kultury i Zrzeszenia Studentów! Noblesse oblige, panowie pracownicy kultury! Albo urządzajcie turnieje i konkursy przeznaczając na to odpowiednie środki pieniężne, albo zrezygnujcie z tej efektywnej działalności, która ma Wam przynieść zyski! Bo żebyż aż jury musieli dopłacać do takiej imprezy? Ach, jaki wstyd!

ARYSTARCH

SAAC ASIMOV

Nieśmiertelny BARD

— Oczywiście — powiedział doktor Welch. — Potrafię wywoływać dusze sławnych nieboszczyków.

Doktor był podparty, w przeciwnym wypadku nigdy by tego nie powiedział. To, że trochę sobie wypił na wigilijnym przyjęciu, nie było aż tak wielkim wykroczeniem, by ktoś mógł o nim źle pomyśleć.

Scott Robertson, młody wykładowca języka angielskiego i literatury, poprawił okulary. Po prostu nie wierzył własnym uszom.

— Czy pan mówi poważnie, doktorze Welch?

— Jak najbardziej. I to nie tylko dusze, ale i ciała.

— Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe — odparł Robertson.

— Dlaczego? Jest to najzwyczajniejsze przesunięcie w czasie.

— Chyba pan ma na myśli podróż w czasie? Ale przecież to naprawdę... niezwykłe.

— Wszystko jest proste, jeżeli się wie, w jaki sposób należy to robić.

— Proszę nam powiedzieć.

— Mówię.

Fizyk szukał oczyma pełnego kieliszka.

— Już wielu udało mi się przenieść z przeszłości i umieścić ich w dwudziestym wieku — ciągnął dalej Welch. — Na przykład Archimedes, Newton, Galileusz. Biedni! — Czyżby im się u nas nie podobało? Chyba byli wstrząśnięci osiągnięciami współczesnej nauki — powiedział Robertson.

— Oczywiście, wszystko, co zobaczyli wprawilo ich w zdumienie. Najbardziej zdziwiony był Archimedes. Początkowo myślałem, że zżaruje z radości, kiedy zacząłem mu wyjaśniać pewne rzeczy w języku starogreckim, którego kiedyś mnie uczono. Ale, niestety, efekt spotkania był bardzo żalony.

— Dlaczego?

— Normalna rzecz. Okazało się, że istnieje różnica kul-

Powiedziałem mu, że bardzo cenimy jego utwory i uważamy je za jedno z najwybitniejszych w literaturze światowej.

— Doskonale, doskonale — szepnął zachwycony Robertson.

— Powiedziałem mu, że napisano już wiele tomów komentarzy do jego sztuk. Wtedy poprosił, bym mu pokazał jedną taką książkę. Wziąłem ją z biblioteki.

— No i co?

— Był po prostu oszołomiony. Naturalnie, nie zawsze rozumiał nasze idiomy i te fragmenty, w których powołujemy się na zdarzenia, jakie miały miejsce po tysiąc sześćsetnym roku, ale wówczas usiłowałem mu wszystko wyjaśnić, chociaż nie zawsze mi się to udawało. Z pewnością nie przypuszczałem, że następne pokolenia uczynią go dramaturgiem i poetą aż tak olbrzymich rozmiarów.

— A co mówił?

— Powtarzał tylko: Boże! Co zrobiono ze słowem w ciągu ostatnich pięciu wieków. Wystarczy dać człowiekowi wolność, a on nawet z wilgotnej smaty wycisnie kilka oceanów.

— To niemożliwe, Shakespeare nie mógł tak powiedzieć.

— Dlaczego? Przecież on pisał swoje sztuki bardzo szybko. Powiedział, że wersety w jego utworach były zware. Na przykład „Hamleta” pisał pół roku. Temat był stary. Shakespeare go tylko opracował.

— Opracował? — oburzył się wykładowca języka angielskiego i literatury. — Chyba pan wie, że po pewnej obróbce zwykłe szkło zamienia się w soczewkę olbrzymiego teleskopu.

Fizyk już tego nie słyszał. Jego uwagę przykuł kieliszek z ciałem, który stał po drugiej stronie stołu. Wyciągnął rękę, wziął kieliszek i znowu opadł na krzesło.

— Powiedziałem nieśmiertelnemu bardowi, że u nas na uniwersytetach są specjalne katedry, zajmujące się twórczością Shakespeare’a.

— Ja jestem kierownikiem takiej katedry.

— Wiem. Nawet zapisałem go na pańskie wykłady. Muszę panu powiedzieć, że jeszcze nigdy nie widziałem człowieka, który by pałał tak wielkim pragnieniem poznania wszystkiego, co o nim mówią i myślą następne pokolenia. Nawet pan nie przypuszcza, ile on na to stracił czasu.

— Pan zapisał Williama Shakespeare’a na moje wykłady? — wymamrotał Robertson. Nawet jeżeli jest to

— A dlaczego pan tak sądzi? Czy coś się stało?

— Musiałem go odesłać z powrotem w XVI wiek.

Welch już nie panował nad sobą. Mówił podniesionym głosem. — Jak się panu wydaje, ile poniżej może znieść człowiek?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi?

Doktor Welch opróżnił kieliszek.

— O czym mówię! Biedny prostaczek, to przecież pan go oblał na egzaminie.

Przetłumaczył:
ROMAN GORZELSKI



Książki nadesłane

- Z. Nienacki — Worek Jurdaszów. Czyt., cena zł 10.—
- H. Lhote — Malowidła kwitnącej pustyni, Iskry, cena zł 15.—
- Z. Szczepiński — Ostatni rozdział. Wyd. Łódzkie, cena zł 10.—
- T. Dobrowolski — Sztuka Krakowa. WL, cena zł 99.—
- J. F. Cooper — Pogromca zwierząt. Iskry, cena zł 30.—
- M. Brandys — O królach i kapuście. Iskry, cena zł 15.—
- Księga pamiątkowa ku czci Karola Estrelehera. WL, cena zł 50.—
- J. I. Szczepiński — Dzień bohatera. Czytelnik, cena zł 10.—
- R. Turek — W służbie najjaśniejszego pana. LSW, cena zł 30.—
- O. Lewis — Sanchez i jego dzieci. PIW, cena zł 50.—
- S. Lubisz — Zasieki. LSW, cena zł 18.—
- Drogi rozwoju Ruchu Ludowego. LSW, cena zł 35.—
- K. Palma — Przed świtem. Iskry, cena zł 10.—
- A. Piccard — Do stratosfery i w głąb mórz. Iskry, cena zł 18.—
- B. Kogut — Rudy Mojżesz. WL, cena zł 12.—
- C. Bobińska — Historyk, fakt, metoda. KiW, cena zł 25.—
- M. Dąbrowska — Pisma rozproszone tom I/II. WL, cena zł 90.—
- J. Levron — Pani de Pompadour. PIW, cena zł 22.—
- W. Machajek — Spiskowcy. WL, cena zł 10.—
- Z dziejów ruchu oporu. WL, cena zł 26.—
- S. J. Lec. Myśli nieuczone nowe. WL, cena zł 28.—
- L. Szkutnik — 100.000 english dialogues. PZWS, cena zł 8.—
- Wspomnienia więźniów Pawiaka. LSW, cena zł 44.—

Lewym okiem



LASY LEŻĄ W PIWNICACH!...

Lasy wiecznie śpią — o ile nie zostaną wycięte na papier. Lasy rosną powoli, pili elektryczne tną błyskawicznie. Nie marnotrawcie papieru!

Kto chce kupić bilet miesięczny na dojazd koleją do pracy — musi co miesiąc na nowo składać podanie. Dopiero wtedy ma prawo zapłacić. Dojeżdżających do pracy jest w kraju wiele tysięcy. Ileż to lasu — zamiast śpić — leży pokotem w piwnicach budynków kolejowych!

Jeżdżą też kolejami urzędnicy, delegowani służbowo. Delegacja służbowa to taki nieduży kawałek papieru z wieloma maleńkimi kreskami, niezbędnymi dla różnych kontroli i rozliczeń. Dyrektor instytucji, chcąc urzędnika wysłać w delegację, stawia podpis na tym papierku. Niektóre instytucje jednak wymyśliły sposób skomplikowania tej sprawy: urzędnik przedkłada dyrektorowi, z którym widzi się sto razy dziennie, pisemny wniosek o podpisanie delegacji służbowej. Wniosek na osobnym papierku. Nie wiem ile jest takich in-

stytucji i ile sosen leży smutno pogrzebanych w zakurzonych pakach po kątach tych urzędów. Nie przydadły się na nic nikomu.

Jest takie Sprawozdanie z przychodu i zapasów w sklepach i kioskach fabrycznych, o symbolu H-zb-1. Ma tylko osiem rubryk, ale za to sześćdziesiąt sześć pozycji, wymienionych po imieniu: mięso, w tym wędliny, konserwy, dalej masło, mleko, motocykle, meble, warzywa, pralki, odzież itd. Żaden sklep fabryczny nie sprzedaje jednocześnie smalcu i motocykli, bo żadna fabryka nie produkuje tych dwóch rzeczy naraz. Więc sprawozdawca wypełnia jedną, swoją pozycję, a sześćdziesiąt pięć pozostaje pustych. Przypuszczam, nie pustych: tam wpisuje się kreski, żeby było wiadomo, że sprawozdawca świadomie daną pozycję w danej rubryce wypełnia na „nie”. Mógł być cały druczek pusty, mógł sprawozdawca zamiast pięciuset dwudziestu kresek wpisać w jedną, potrzebną pozycję, jedno słowo: „masło” — i tę jedną potrzebną pozycję wypełnić. Druczek byłby o wiele mniejszy, pracy o wiele mniej, a paręset sosen szumiłoby sobie spokojnie dalej na chwałę tego samego GUS-u — bo przecież ilość ha lasu na 1 m kw. nie jest temu Urzędowi obojętna?

Są takie sprawozdania, które sporządza się co miesiąc, a oprócz tego dodatkowo — raz na kwartał. To kwartałne jest sumą tamtych trzech. Więc na przykład w pierwszych dniach kwietnia sporządza się sprawozdanie za marzec — i osobno — za pierwszy kwartał.

Robi to „jednostka podstawowa”, tzn. przedsiębiorstwo, i przesyła jednostce nadrzędnej. Jed-

nostka nadrzędna sumuje co miesiąc sprawozdania wielu jednostek podstawowych i opracowuje miesięczne sprawozdanie zbiorcze dla jeszcze wyższej jednostki. Żeby zrobić kwartałne zbiorcze — wystarczy podsumować trzy sprawozdania miesięczne zbiorcze, po co brać do tego kwartałne sprawozdania wielu jednostek podstawowych?

Gdyby ktoś był bardzo odważny, mógłby pójść jeszcze dalej i powiedzieć, że w każdym sprawozdaniu miesięcznym można by podawać dane narastające: w styczniowym — za styczeń, w lutym — za styczeń i luty, w marcowym — za styczeń, luty i marzec razem. Wtedy nie trzeba sumować na żadnym szczeblu, sprawozdań o wiele mniej, pracy dużo, dużo mniej, i mnóstwo hektarów lasu rośnie dalej, zamiast latać po wszystkich urzędach pocztowych Rzeczypospolitej.

Takich „można” mamy w kieszeni jeszcze sporo. Jeśli kto ciekaw — prosimy złożyć podanie (w wielkim formacie, z marginesem) i załączyć trzy tysiące na odpowiedź. Zobaczycie, że się opłaci.

CWIEK

